Nr. 9. Lwów, dnia 10. września 1894. Rok XVII.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 6 rs., 12 franków.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

Łowiectwo na powszechnej Wystawie krajowej.

IV.

Niebawem zamkną się podwoje pawilonów Wystawy, trzeba więc i nam spieszyć z zakończeniem naszych sprawozdań. A mamy jeszcze wspomnieć o niejednym ciekawym przedmiocie w głównym pawilonie łowieckim i bodaj rzucić okiem na bogate trofea, zamieszczone w wybitniejszych pawilonach prywatnych.

Ogólny interes łowiecki budzą mapy Galicyi, przedstawiające rozsiedlenie najważniejszych zwierząt łownych, zestawione przez radcę dworu pana J. Glanza. Gdyby się dało na tej cennej podstawie, przy użyciu odpowiednich barw i znaków, przedstawić rozsiedlenie drapieżców, jak ryś, żbik, niedźwiedź i wilk, oraz stałe ostoje najciekawszych zwierząt łownych na jednej karcie — a równocześnie uwidocznić na niej choćby w przybliżonych cyfrach przeciętną gęstość zwierzostanu sarn i zajęcy w stosunku do areału, oraz główne stawiska i moczary, gdzie stale na ptactwo błotne polować można — to byłaby to praca niezmiernej wartości. Wiemy, jak z każdym lat dziesiątkiem, w skutek zmian kultury rolnej, zmieniają się warunki łowiectwa w naszym kraju; utrwalenie ich przeto w pewnej chwili i publikacya mapy tego rodzaju, byłaby pięknem zadaniem i zdobyłaby imieniu jej twórcy wdzięczną pamięć pokoleń myśliwskich

O historycznej grupce naszego myśliwstwa wspomnieliśmy już, podnosząc szczególniej piękne okazy łbów żubra i łosia. Pochodzą one ze zwierząt, które ubił Henryk ks. Lichtenstein: żubra w Białowieskiej puszczy, łosia w Berezyńskiej kniei.

Prócz tej głowy łosia, jest jeszcze inna, również z Berezyny, własność hr. Mielżyńskiego, odznaczająca się tą szczególnością, że wystercza jej z karku zarośnięty róg, prawdopodobnie ostry koniec łopaty wojowniczego zapaśnika.

Na szczupłą, ale bardzo cenną garstkę starożytnej broni myśliwskiej i dawnych rynsztunków łowieckich złożyli się ks. Eustachy Sanguszko (stare arbalety, skałkówka i wiatrówka, piękne rożki na proch), ks. Andrzej Lubomirski (skałkówki, pistolety, trąbki drewniane), Stanisław hr. Tarnowski, Br. Słonecki, A. Wysokiński (trąbki myśliwskie), W. Przybysławski (huculska skałkówka i kabzlówka), E. Oczosalski (rewolwerówka skałkowa, arbalet stalowy, rożki na proch, podsypka, manierka, ładownica z początku XVII w., berło sokole i trąbki myśliwskie), M. Bogdanowicz (2 łuki bawole, 2 sajdaki ze strzałami), Jan hr. Drohojewski (sztuciec skałkowy, kindżał, oszczep, futerko myśliwskie, rożek na proch) J. Leszczyński (broń skałkowa, trąbki, rożki na proch, harap, manierka drewniana), krajowa szkoła lasowa, St. Pilecki, Towarzystwo św. Huberta (broń dawna) i inni.

Broń nowożytną, oprócz A. Dzikowskiego i Pileckiego, wystawiła także firma rusznikarska we Lwowie, pp. Szad-

kowski i Kopczyński. Niewielka kolekcya tej broni, umieszczona w gustownej szafce, rokuje im już teraz piękną przyszłość.

Ukończywszy praktykę w pierwszorzędnych warsztatach, otworzyli ci spólnicy w r. 1889 przy placu bernardyńskim l. 1. skromną pracownię. Z tej pracowni wypuścili już bardzo wiele myśliwskiej broni, która od lat pięciu w rękach zawołanych myśliwych dobrą im wyrabia opinię. Młodzi majstrowie pracują w swoim warsztacie na równi z pomocnikami i to właśnie, że każdy klient ich samych przy robocie zawsze zastać może, wzbudza pewne zaufanie i każe wierzyć, że żadna broń z warstatu niedbale odrobiona nie wyjdzie.

W szafce pp. Szadkowskiego i Kopczyńskiego zauważyliśmy 10 sztuk broni myśliwskiej. Trzy trzylufki nowe, dwa używane lecz w stanie dobrym, mimo kilkuletniego użycia, trzy dubeltówki nowe, jedna kniejówka (*Büchsflinte*) nowa i jedna używana.

Na wyróżnienie, jako nowość, zasługuje sztuciec dubeltowy ekspres, systemu lankaster cal. 450. Już zewnętrznie prezentuje się ta broń wykwintnie; lufy przy końcu, gdzie wchodzą w baskilę, półokrągło, łagodnie pasowane, drażone są w jednym kawałku stali. We środku cugi owalne. Jest ich w lufach tylko dwa i gubią się naprzeciw siebie, tak, że patrzącemu w lufy wydaje się, iż żadnych cugów niema. Cugi te są jednak dosyć głębokie, trzymają kulę dokładnie i powodują celny strzał.

Sposób takiego cugowania zapewnia łatwość czyszczenia z osadu, wskutek czego lufy się nie niszczą. Ze strzelb śrutowych wyróżniają się: dubeltówka systemu lankaster cal. 16 z przedniemi ślicznie wpuszczanemi zamkami, tudzież dubeltówka systemu Teschnera cal. 3. Piękną bronią jest dubeltówka kniejówka cal. 450 ekspres prawka, a cal. 16 lewka.

Wszystka ta broń, obok dokładności konstrukcyi, odznacza się także przystępnością cen. Jakie zaś były rezultaty strzałowe przy próbach, przedsięwziętych przez członków jury, podaje w zamieszczonej poniżej korespondencyi p. T. Żurowski, jeden z jurorów a najwytrawniejszych znawców broni myśliwskiej.

A skoro już jesteśmy przy szafce Szadkowskiego, należy wspomnieć o prześlicznych czaplach siwych, które się tuż obok niej znajdują. Ciekawe są one z tego względu, że pochodzą ze stałego gniazdowiska, jakie sobie obrały, corocznie na nie wracając, na starych osikach, w ogrodzie p. Stanisława Matkowskiego w Sokołowie. Bywa ich tam tak wiele, że zdobycie okazów na wystawę nie przedstawiało żadnych trudności poszukiwań i strzału.

Inną osobliwością nad stołem sąsiednim, jest rodzaj obrazka, przedstawiającego gwiazdę i półksiężyc w gustownym otoku, wszystko wykonane z t. z. piórek malarskich słonki. Piórek takich posiada słonka tylko dwa, to też trzeba było 185 słonek, które padły od strzałów p. B. Słoneckiego, aby ten piękny obrazek ułożyć. Na stole pod obrazkiem rozścielone jest duże nakrycie na sanki, własność p. K. Bielańskiego, zeszyte z wybornie dobranych skór borsuczych. Świadczy ono, że futerka tych naszych leśnych pustelników, bardzo piękną mogą wydać całość.

W sąsiedniej części pawilonu łowieckiego, poświęconego głównie leśnictwu, są także przedmioty wiążące się z łowiectwem.

P. Marcin Miller wystawił tu w pięknej gablocie ubrania myśliwskie, czapki, kapelusze, ciżmy, buty filcowe, pończochy, kaftany, kurtki i t. p. Nie ze wszystkiemi temi okazami godzą się myśliwi — zwłaszcza polscy — którzy mają swój gust i swe tradycye. Należałoby, aby wystawca więcej się do nich stósował, gdyż byłoby bardzo pożądane, ażeby kraj własny — nie jakieś firmy styryjskie lub tyrolskie — ubierał sam i po swojsku swoich myśliwych.

Jednym z najpiękniejszych okazów tego skrzydła pawilonowego jest olbrzymia gablota p. Jana Stachiewicza, mieszcząca w około zbiór nasion dla zakładania remiz łowieckich. Wszystkie najważniejsze rośliny remizowe, dające zwierzynie ochronę i pożywienie, są tu bardzo starannie w nasionach reprezentowane. Środek gabloty zaś zajął tak prześliczny zbiór swojskich i zagranicznych motyli dziennych i zmierzchników — uderza takim bogactwem form i tak świetną tęczą barw — że nie można się dziwić, iż gablotka jest niemal w ciągłem oblężeniu i wywołuje słowa podziwu z ust widzów.

Jeżeli dodamy, że w tejże części pawilonu mieszczą się również okazy kul, śrutu, patronów, przybitek i t. d. z fabryki p. Rudolfa Nehrlicha (Litwina) z Bielska, który jako wyborny myśliwy także próbki karmy dla zwierzyny i żywe okazy roślin remizowych (poza pawilonem) wystawił — że mamy tu nareszcie okazy prochu strzelniczego i materyałów do tegoż, używanych w fabryce p. Franciszka Stanka z Wiszenki — to wyczerpiemy niemal wszystko, co pawilon łowiecki w sobie zawarł.

Lecz jeszcze nam czegoś braknie do całości. Któż zgadnie? Stylowych mebli myśliwskich. Otóż są i one. Okazy bardzo eleganckie stołów, krzeseł, foteli, szafek, wieszadeł, futer pod nogi i t. d. zamieściły w swych enterieur'ach firmy Dzikowski i Pilecki, a nadto mamy wystawione przez p. W. Zontaka: oryginalny stół dębowy na badylach łosia i stół ośmioboczny na badylach jelenia, na galeryi zaś głównego salonu: stół myśliwski do robienia ładunków i dwa kałamarze z rożków. Jestto własność p. Antoniego Gotwalda ze Skały, który prócz tego wystawił ciekawą kolekcyę parostków, złożoną z 57 par.

Jesionowe laski myśliwskie, stołeczkowe, wyrobu W. Cholewy z Żelechowa Wielkiego, i wyborne pasy do broni E. H. Sulikowskiego, kompletują inwentarz, który do myślistwa należy.

* *

Że między prywatnemi pawilonami łowieckiemi najświetniejsze miejsce pod względem łowieckim zajmują pawilony hr. hr. Romana i Andrzeja Potockich — tego podobno i mówić nie potrzeba. Tradycyjne zbiory, wielki majątek i kolosalne obszary łowieckie, obfitujące we wszystko, czego dusza myśliwska pragnie, składają się tutaj na komplety trofeów myśliwskich, broni i modeli przyrządów łowieckiego gospodarstwa, godne ze wszech miar bliższego oglądania i badania.

W pawilonie hr. Romana Potockiego widzimy piękne okazy niedźwiedzia, dzika, wilka, rysia, żbika, wielce ciekawego mieszańca wilczycy z psem i mnóstwo rogów pierwszorzędnej jakości. Są tu dalej oryginalne kłusownicze strzelbki, poodbierane amatorom cudzej zwierzyny przez straż leśną, obok pawilonu zaś zwracają na siebie powszechną uwagę: namiot i stół myśliwski, wyborny wóz podjazdowy, znaki dla nagonki, straszaki, znakomicie urządzone tryzuby, żłobki do karmienia zwierzyny i t. p.

Krzeszowicki pawilon ma jeden oddział specyalnie łowiectwu poświęcony. Imponującym zaiste jest już sam napis: „łowiectwo" na ścianie, złożono go bowiem z samych parostków, wzorowo co do rozmiaru dobranych. Środek tego działu zajmuje okaz olbrzymiego niedźwiedzia, ciemno-bru-

natnego, w pozycyi strasznej, gdy wzniosłszy się na tylne łapy, przedniemi na myśliwego uderza. Na ścianach mieści się broń starożytna i kłusownicza, głowy dzików, jeleni i innych zwierząt, są tu wzorowe modele budowli na karmę dla jeleni i sarn, modele psiarni, trybunek na drzewie, wózka podjazdowego, samołówki do chwytania bażantów i sarn, kosze przenośne i t. d.

Wielce zajmującym jest również zbiór okazów myśliwskich, zestawiony malowniczo przez p. Matkowskiego w pawilonie bar. Poppera. Oprócz przepysznych wieńców jelenich, jest tu w całej swej postaci piękny jeleń karpacki i inne zwierzęta i ptaki łowne, szczególniej do górskiej naszej fauny należące, tudzież broń i rozmaite przybory myśliwskie.

Trudno nam czynić przegląd szczegółowy innych pawilonów. Powiemy więc ryczałtem, że tak między okazami leśnemi, rozłożonemi obok pawilonu leśno-łowieckiego, jako też w pawilonach dóbr Brodzkich, dóbr Żywieckich Arcyksięcia Albrechta (modele tryzubów, lizawek, paście na kuny), fundacyi Skarbkowskiej, dóbr Skolskich, dóbr Tłumackich i dóbr rządowych, są rozproszone okazy łowiectwa, zasługujące pod wielu względami na uwagę myśliwego.

* * *

A teraz kończymy nasz przegląd. I czem go skończymy? Wyrazem szlachetnej dumy, że wystawa działu łowieckiego, mimo obojętności wielu, udała się znakomicie, że jest ona w istocie pełnym obrazem tego działu gospodarstwa krajowego, który ma w sobie barwną tradycyę najszlachetniejszej ze zabaw ziemianina polskiego, a ukazuje przytem obowiązek racyonalnego traktowania łowiectwa w związku z postępem kultury ziemiańskiej, dla zachowania zwierza łownego i przysparzania tych dochodów, które dobrze utrzymane łowiectwo dawać może i powinno.

Pokrzepiającym jest widok tych wspaniałych zbiorów i rośnie nadzieja, że w tej naszej powszedniej mgle życia, jaką wytworzyła jednostajność cywilizacyi ostatniego wieku, przypomniało się na Wystawie łowiectwo niejednemu w całej swej powadze, że nie ustanie zapał do męskich zapasów z naturą, że w ziemiańskiem życiu pozostanie zawsze myśliwstwo źródłem odżywczem dla marniejących fizycznie, dla zniechęconych moralnie, że rolnik i obywatel znajdą tam zawsze hypokrenę do odmładzania się w duchu narodowym.

St.

KRZYŻÓWKI.

Był to jeden z tych poranków młodości, który w oczach, w sercu i w duszy pozostawia wrażenie niezatarte — stałe wspomnienie lat młodych, które jako wieczysty akt ślubu z przyrodą rysuje się i po wielu latach obrazem jasnym i pełnym przed oczyma duszy.

Dzień sierpniowy, pogodny, bez chmurki, zwiastował upał, ale rozpoczynał się chłodnem powiewem, który rozsuwał w długie pasma mgłę, unoszącą się nad jeziorem i jak włókna cudownej tkaniny wplatał ją w wysokie, lekko szumiące trzciny. Olchy nadbrzeżne zwiesiły pod ciężarem obfitej rosy swój liść czarno-zielony, lśniący, odbijający silnie na mleczno-niebieskiem tle porannego nieba. Tylko na wschodzie jarzyło się blaskami złotemi i rubinowemi od młodego słonka, które jakby skąpane wstawało z topieli. Woda, marszczona lekkiem powiewem, rzucała to rumiane, to srebrne błyskawice, i jakby oddychając, uderzała miarowo drobnemi falami o płaskie, piaszczyste brzegi.

Na brzegach, nad wodą i w wodzie wrzało już życie. Pliszki kręciły się skrzętnie na brzegu i wskakiwały na kamyczki opluskiwane wodą — w zaroślach ćwierkało bezustannie i drobne ptaszyny przemykały się jak cienie pomiędzy smukłemi łodygami trzciny — na pełnem zwierciadle wody szybowały jak dwie fregaty, dwa perkozy czubate i nikněły co chwila pod wodą, aby się w najbardziej niespodziewanem miejscu znowu na wodzie ukazać — z szuwarów, z hałaśliwem pluskaniem, wymykały się całemi sznurkami łyski, ślizgając się po wodzie w wesołych pląsach — a z daleka dochodziły wołania i urywana pieśń oracza, wyjeżdżającego na wczesną orkę jesienną.

W głębi, poza lasami trzcin i szuwarów, rzucających długie cienie na wodę, panowała tajemnicza cisza, i gdyby nie plusk rybek, które od czasu do czasu fontanną srebrnych iskier tryskały, możnaby myśleć, że to jakieś sennne widziadło wody bez ruchu i życia.

Lecz to tylko maska natury. Ta silna rzeźwiąca woń, jaką wydają ze siebie wody jeziora — ta woń przesiąknięta subtelnemi oddechami tataraków, kminów, mięt wodnych i błotną surowizną małżów wyrzucanych na brzegi — wszystko to ci mówi, że pod pozorem spokoju i senności tkwi tam w głębi potęga życia i ruchu, która wydała i zniszczyła po kolei całe pokolenie tworów, stwierdzając wierzenia magów egipskich, że nie z ognia lecz z głębokiej a żywej wody płynie wszelkie życie.

Na brzegu stał Kuba, pomocnik stawniczego, w steranym kapeluszu słomianym, ubrany tylko w zgrzebną bieliznę z koszulą na piersi rozwartą, boso, z nogawicami obwiązanemi w dole sznurkiem. Pochylił się i zatykał kłakami szparę w czółenku, które trochę przeciekało.

— No, paniczu, siadajcie! Już będzie dobrze — rzekł po chwili, przytrzymując czółno ręką.

Wskoczyłem do łódki z strzelbą na ramieniu i pasem pełnym nabojów. Woda plusnęła mocniej o brzegi i zapieniła się, czółno poczęło się sunąć. Legawiec mój, Prut, zaskowytał z cicha, nie wiedząc co czynić. — No, chodź! — i już wskoczył do łódki i przywarował u mych nóg. Kuba wziął do rąk długie wąskie wiosło, i poczęliśmy się sunąć bez plusku, bez szmeru, jak cień chmury po wodzie.

Nie zwiedzie to jednak czujnych perkozów. Na pozór obojętne i nie widzące niczego, nie przestają zataczać swych łuków po wodzie, ale łuki te coraz dalsze od czółna, gdy zaś dadzą nurka, coraz dalej czarne czubki z wody wychylają. Już i łyski się zmiarkowały, pogawędziły coś między

sobą i zniknęły cicho między szuwarami, a tam dalej, na samotnej kępce, stoi żółtawo-rudy bąk, z groźnym dzióbem i czarną czupryną, zaskoczony jeszcze na swem nocnem stanowisku.

Łódka mknie tymczasem w tajemne ulice trzcin i szuwarów. Cień tu zupełny i mgła chłodna, twardy liść trzciny szemrze coś bezustannie, a wiechy słaniają się o kilka stóp ponad naszemi głowami. Czasem muśnie łódka o kwiat żółtego grzybienia lub okwitającą lilię wodną — a czasem jak duch bezcielesny, jak motyl raczej niż ptak, przemknie kurka wodna z jednej ściany trzcin ku drugiej i niknie.

Cisza nieprzerwana. Na skręcie trzcinowej ulicy ukazuje się obszerniejsza zatoczka. Suniemy się jak duchy. Wtem Kuba dotyka się palcem mego ramienia a potem rozchyla lekko trzciny. Wzrok mój biegnie za jego palcem, i Prut wychyla głowę poza brzeg łódki, a skóra jego cała drży od wzruszenia. Cóż bo to za obraz prześliczny! Krzyżówki wiosłują poważnie, głaszcząc dzióbem piórka na barkach i piersiach, lecz już zwróciły uwagę na ruch tr cin niezwykły i nikną po przeciwnej stronie w gęstwinie szuwarów. Lekkomyślne cyranki i cyraneczki nie dbają jednak o nic; młódź igra wesoło na wodzie, starsze kaczki robią toaletę, lub nurkują za żerem, wystawiając kupry do góry, wszędzie ruch i przytłumiona rozmowa tych trajkotek i świstunów, którejby nikt wśród jednostajnego szumu trzcin nie przypuszczał.

Zabiło mi serce, ręka ścisnęła mocniej lufki, lecz ani myślałem robić użytku z broni. Ta podpatrzona scena domowego pożycia kaczek warta była więcej, niż para ubitych sztuk na półmisku. Miłośnik i badacz przyrody wziął górę nad myśliwym...

W tem Kuba uderzył wiosłem o burt czółna. Zrobił się popłoch — w okamgnieniu zniknęło wszystko wśród trzcin, i tylko piórka pogubionego puchu kołys ły się na cichych wodach jeziora.

Po tej sielance, poświęconej podpatrywaniu przyrody, nastąpiły łowy. Kuba znający jezioro jak kieszeń swej gurmany, kierował czółnem po mistrzowsku i podwoził tuż pod same siadła pojedynczych kaczek. Do krzyżówek, zrywających się ciężko z wrzaskliwem kwakaniem, paliłem jak do czapki, a Prut rozochocony szedł po nie w szuwary i przynosił wiernie do czółna.

Już połów był obfity, a słońce postępując ku górze przygrzewało siarczyście, gdyśmy dotarli do przeciwległego brzegu jeziora. Kończyło się ono widokiem na sioło o malowniczem kościółku wśród prastarych lip i chatach pobudowanych amfiteatralnie na wzgórkach zamykających jezioro.

Gdyśmy dobili do brzegu, powitał nas uśmiechem modrooki chłopczyna o długich a płowych jak len włosach. Z ciekawością patrzył na mnie, na strzelbę, na Pruta i na bogaty połów na dnie łodzi.

Wyskoczyłem na brzeg, aby nogi wyprostować.

— Jasiek, co tu robisz? — zapytał Kuba chłopczynę.

— Mielę — odparł z uśmiechem.

— Co zaś mielesz? Nie bajdurz!

— Ano haw! — rzekł chłopak wesoło, pokazując na potoczek, który szparko spływał ku jezioru.

Zbliżyłem się do potoczka i teraz dopiero dojrzałem dziecinną budowę młyna z kołem czerpakowem, z zastawkami z podobizną kamienia młyńskiego, pytla i w ogóle całą konstrukcyę, która się ruszała, obracała i kłapała jak istny młyn.

— A toś ty bardzo prześcipny, Jasiek — mówił Kuba — pewnie będziesz mielnikiem.

Chłopczyna uśmiechał się z radością i rozpoczęła się rozmowa, wśród której Jasiek opowiadał swobodnie a roztropnie o swoich i o sobie, i o tem, że chodzi już trzy lataf do szkoły i że pan nauczyciel bardzo go chwali, a ksiądz proboszcz podmawia tatasia, aby go do dalszych szkół do miasta posłali.

— A ty masz ochotę jechać do miasta na naukę? — pytałem.

Chłopak spojrzał głęboko po jeziorze, po trzcinach, po drzewach, po niebie i rzekł jakimś głuchym głosem:

— Abo mi tu źle?

— Ale wyjdziesz na ludzi — dodałem — będziesz może księdzem, albo profesorem.

Chłopak włożył rękę w swe długie płowe włosy, spuścił głowę ku ziemi i nic nie odrzekł.

On tak kochał ten ruczaj, toczący swe wody na jego młynek, to jezioro, te trzciny i sitowia, te lasy dalekie i to niebo sine...

Gdyśmy wracali środkiem otwartych wód jeziora, patrzałem długo na zadumanego chłopczynę. Młynek szumiał poza nim, ważki o skrzydłach ze szafiru krzyżowały się nad jego jasną głową — a w tej głowie...

— Biedny Jasiek! Chcą go zabierać do miasta...

* *

Wodami życia naszego szarpały prądy i burze w rozmaite strony, ale wody jeziora zostały te same: głębokie, przejrzyste, pełne tajemnic życia wśród ulic trzcinowych.

Minęło z górą trzydzieści lat. Kuba załamał się na łodzie wiozące ściętą trzcinę z jeziora, i umarł na suchoty. Był nowy stawniczy i nowego miał pomocnika — w siole wzrastało nowe pokolenie, ale na jeziorze, wśród szuwarów i sitowia gnieździły się jak dawniej krzyżówki i cyranki i takie same żłobione czółenko kołysało się na wodach jeziora.

Przybyło nas dwóch na parę godzin przed zachodem słońca, aby spróbować szczęścia z krzyżówkami. Nie było Pruta; pies mojego towarzysza, Neptun, miał go zastąpić. We dwóch zajęliśmy miejsca w czółenku, chłopak z młyna wiosłował. Pod ciężarem trzech osób zanurzało się czółno dość głęboko. Cicho, bez ruchu i słowa, puściliśmy się w ulice trzcinowe.

Ja stałem w pośrodku, towarzysz mój siedział skulony na ławeczce, i patrzył z zadumą w wodę. Widziałem łysą jego czaszkę, twarz chudą, żółtą, przedwcześnie pomarszczoną z wyrazem zgryźliwej melancholii i przesytu życia. Związałem w myśli wspomnienia moje z czasów młodości i zrobiło mi się smutno. Wszak to Jasiek z przed laty trzydziestu...

Szuwary i sitowia były puste. Nadarmo wiozący nas chłopak uderzał wiosłem o burt czółna — nie spłoszył żadnej kaczki. Jeszcze nie poczęły, jak zwykle pod wieczór, zlatywać się z żerowisk na sąsiednich błotach. Wszyliśmy się tedy w gęstwę trzcin tuż nad większą halawką, gdzie kaczki najgęściej zapadały i postanowiliśmy czekać. Siadłem i ja w łódce i byliśmy jak za światem wśród wodnych rdestów i jaskrów, otuleni sitnikiem i trzcinami.

Towarzysz mój podniósł głowę i z uśmiechem bardzo smutnym na ustach rzekł:

— Inaczej było przed trzydziestu laty! Pamiętasz pan mój młynek, moje długie płowe włosy, moje szczęście, które znikło na zawsze?

— Zmieniły się stosunki, panie radco! — odparłem z serdecznością — nie mogłeś pan pozostać przy swoim

młynku. Obowiązki względem kraju wezwały cię na zaszczytne stanowisko, na którem mu dzielnie służysz.

Machnął z lekka ręką.

— Tak, jesteśmy zębami koła w tym młynie urzędowym, na ktorym się miele dola i niedola kraju. Przykuci do siebie szeregiem rang, jak zęby na kole, żyjemy wśród ciągłego zgrzytu piór, rdzewiejąc i głupiejąc z każdym dniem, oddalając się coraz bardziej od przyrody i jej swobodnych form. Może był pożytek z mego ducha, z mych nocy na pracy spędzonych — ale ja sam się starłem i zużyłem, zeschłem, spróchniałem — narzędzie do niczego.

Westchnął, zamilkł na chwilę, a potem głosem cichym a rzewnym tak dalej ciągnął:

— Wiesz pan, jaki miałem wstręt, gdy mnie na naukę do miasta posyłano. Zdawało mi się, że zginę, gdy wydam z płuc ostatnie drobiny powietrza mej rodzinnej wioski. Poranne i wieczorne blaski tego jeziora stawały mi w snach przed oczami, słyszałem szum tych trzcin, gdym się zadumał, widziałem niebo sine, a na niem klucze kaczek, kołujących nad jeziorem. Zdawało mi się nieraz, że mi pierś pęknie z tęsknoty. Ale miałem duszę zapalną, głowę otwartą na wszystkie wrażenia — gdy więc nauka zapukała do niej, ogarnęła mnie jak płomień żądza wiedzy, rzuciłem się w wir nauk i tam było ukojenie mych tęsknot, choć bladły policzki, krew się zjadała i włos jął padać przedwcześnie...

Doszedłszy do stanowiska, na którem mogłem sobie już na niejaki zbytek pozwolić, pomyślałem o zapomnianych urokach przyrody i pozwoliłem się wciągnąć w miejskie kółko myśliwych. Lecz przyroda, to namiętna kochanka, która nie wraca na zawołanie, gdy się ją raz porzuci. Gdym po raz pierwszy jakiejś niedzieli — bo tylko niedziela została nam ku czci przyrody, jeśli i tej dla wista nie poświęciliśmy — otóż gdym po raz pierwszy wyjechał na polowanie, zdawało mi się, żem odżył, że zmartwychwstał we mnie dawny Jasiek. Całowałem poranne powietrze pól i lasów, upajałem się niem. Ale złudzenie trwało nie długo. Więcej hałasu i śniadańkowania, niż łowów i badań przyrody. niesmaczne spory między towarzyszami — wszystko to mąciło mi rozkosz powrotu na łono przyrody. Odsunąłem się i od nich i pozostałem już molem biur i książek, starym, stetryczałym kawalerem, który hoduje pelargonie i trzyma kanarki, ażeby mieć choć karykaturę przyrody, a pokojowe akwaryum ze złotemi rybkami pielęgnuje jako przypomnienie rodzinnego jeziora...

Uśmiechnął się gorzko i zakrył oczy na chwilę.

— Potrzeba mi jednak ruchu — odezwał się znowu — wytężeń fizycznych, bo doktor codzień mówi o upośledzonym obiegu krwi, o nieżycie żołądka, o nadmiernem rozlewaniu się żółci. I wiesz pan co robię? Oto froteruję sobie codzień rano posadzkę w mym saloniku... Ha, ha, to jest mój sport dzisiejszy, a tylko panu udało się wyciągnąć mnie na tę przejażdżkę po jeziorze.

— I nie pożałujesz pan tego, kochany radco — rzekłem, ściskając mu rękę z uśmiechem, choć łzy mi się do ócz cisnęły. — Nie pożałujesz pan tego, odżyjesz, odświeżysz się, wrócisz z pokrzepionemi siłami do pracy.

Nie mogliśmy dalej mówić, bo wioślarz ukazał nam w górze ciemną gromadę krzyżówek, która, zatoczywszy koło nad halawką, spuszczała się na wodę. Zagrała w nas krew myśliwska. Przygotowaliśmy dubeltówki do strzału i wnet rozpoczęła się kanonada. Chmury kaczek wzlatywały z jeziora, krążyły i znowu zapadały, my zaś zmienialiśmy zręcznie stanowiska, aby mieć zapadające ptaki na strzał. Tak, nim dojechaliśmy do końca jeziora, leżało na dnie czółna kilkanaście ubitych sztuk, a pilny Neptun otrząsał się z wody, obryzgując nas obficie.

Dobiwszy do brzegu wyskoczyliśmy z czółna, aby siąść na murawie i wychylić na trupa po czarce koniaku. O melancholijnem, zgryźliwem usposobieniu, nie było już mowy u radcy. Ruszał się krzepko, zacierał ręce, opowiadał żywo o różnych trudnych strzałach w czasie naszej kanonady, głaskał Neptuna, chwalił go za pilne aportowanie i wyciągnąwszy chleb z torby, podawał mu kawałkami.

Mieliśmy teraz zachód przed sobą. Nie raziły nas promienie słońca, bo skryło się już za horyzontem, tylko wspaniała purpurowa zorza malowała przecudownie krawędzie białych chmur, płynących majestatycznie z lekkim południowym wiatrem. Wiatr muskał także powierzchnię jeziora, układając wody jego w karpią łuskę, na której igrały krwawe odblaski. Z kościółka na górze dochodziło nas smętne dzwonienie na Anioł pański.

Milczeliśmy przez chwilę, zapatrzeni w piękny krajobraz, wreszcie przerwał radca milczenie.

— Tu widzieliśmy się po raz pierwszy, tu słyszałem pańskie przyjaźne, serdeczne słowa — rzekł, ściskając mi rękę. — Teraz jestem tu zupełnie obcy. Rodzice nie żyją, rodzeństwo poszło za mną do miasta i rozprószyło się w różnych stronach — nie znalazłbym tu już nawet piędzi ziemi na grób.

— Lecz chodźmy! — dodał, zmieniając nagle ton rozmowy — zaczyna mnie chłód przejmować.

Wstaliśmy. Nasz wioślarz poskoczył ku łodzi, przytrzymał ją, i byliśmy znowu na wodzie. Podobnie jak ongi, pruliśmy jezioro samym środkiem przez głębie nie zarośnięte, a czółenko, chwiejąc się, pomykało jak strzała. Zachód przed nami już zbladnął, zato księżyc począł rzucać snopy światła i srebrzył ślad, któryśmy ryli w wodach jeziora. Odgłos dzwonu wzywającego na „Anioł pański“ dolatywał do nas coraz ciszej...

Wtem zahybotała się łódka gwałtownie. Radca stanął w łodzi.

— Co pan robisz? — zawołałem — małośmy się nie wywrócili.

— Chcę jeszcze raz spojrzeć na ten kościółek, skąd nas dolata modlitwa dzwonów. Może to raz ostatni...

Rzekłszy to, patrzył chwilę ku wsi i kościółkowi, a potem zakrył twarz rękami jakby do cichej modlitwy i zwrócił się gwałtownie.

Zwrotu tego niespodziewanego nie wytrzymała już łódka. Burt jej schował się pod wodę i w jednej chwili wpadliśmy wszyscy do jeziora.

Należę do dobrych pływaków, chociaż więc odziany, rozparłem wody kilku ruchami ramion i ukazałem się na powierzchni. Brzeg nie był daleko, ku niemu się zatem skierowałem, ale oglądam się na boki, chcąc widzieć, co się z innymi dzieje. Wywróconej łódki uczepił się wioślarz i wiosłując jedną ręką, posuwał się mozolnie za mną. Radcy nie mogłem na razie dojrzeć, lecz wkrótce ukazał się nieopodal trzcin piękny łeb Neptuna, który w zębach starał się omdlonego pana swego utrzymać ponad wodą. Począłem wołać o pomoc i pospieszyłem o ile mogłem, aby dopłynąć do brzegu. Opadając z sił dotarłem nareszcie. Ludzie zaczęli się już zbiegać, dali pomoc wioślarzowi, obrócili czółno, i jeden z najzręczniejszych pomknął we wskazanym kierunku.

Z biciem serca czekałem, co będzie. Złudny blask księżyca i długie cienie trzcin nie dozwalały dojrzeć, co się

dzieje na jeziorze. Błąkanie się wysłanej łódki wśród trzcin wydało mi się wiekiem, wołanie: „Nie ma!“ przejmowało zimnym dreszczem...

Nareszcie wróciła łódka. Był w niej tylko Neptun. Zwracając się ku trzcinom, przy których go widziałem, rzucał niespokojnym wzrokiem, skomlił i wył żałośnie.

Biednego radcy nie było. Zemdlonego i zaplątanego w zwoje roślin wodnych, nie mógł już pies dociągnąć.

Woda jeziora wygładziła się, księżyc jak przedtem oświecał ją uroczo, a z daleka dochodził konający już głos dzwonu na Anioł pański... *St.*

Strzelanie kozłów na wabia.

Znany myśliwy i autor wielu dzieł i rozpraw niemieckich o łowiectwie, Raul Dombrowski, pisujący zawsze z werwą i humorem myśliwskim, zamieszcza w jednem z pism łowieckich następujące uwagi o strzelaniu kozłów z „mikotem“ czyli na wabia.

Powabny, szlachetny, nerwowy i tkliwy ród sarn jest w swem pożyciu równie zagadkowym i niepewnym jak ród niewiast między ludźmi.

Jeśli tylko znam rewir, to mogę niemal z całą pewnością przepowiedzieć, którędy się będzie przemykał przebiegły mykita i gdzie może wyjść na strzał; to samo powiedzieć można mniej więcej u jeleniu — ale jeśli idzie o to, aby dostać kozła na strzał, zwijam chorągiew mego doświadczenia i nic nie zdołam na pewno przewidzieć. Szlachetny ten rogacz zwykł bowiem przy nagonce lub na podjezdnem tam się pojawiać, gdzie się go najmniej spodziewamy, a tak samo bywa i wtedy, gdy go chcemy wziąć na wabia.

Wszelkie przeto rady i reguły przy polowaniu z wabikiem na nic się nie przydają; rogacz umie je unicestwiać i z reguł robić wyjątki. Dziś wypadnie na głos mikotu jak ślepy i szalony, jutro podkradać się będzie jak szpieg pełen ostrożności, aby myśliwemu „bądź zdrów!“ powiedzieć — a innym znów razem, gdy korzystna pogoda i wiatr każą się koniecznie kozła spodziewać, zobaczysz świegocące sikorki, krzykliwe orzechówki, nawet chytrych rabusiów jak mykitę lub jastrzębia — raz wyszedł i wilk na mnie — tylko ani śladu kozła.

I dlaczego?

Na pytanie to niestety nie mogę dać sumiennej odpowiedzi, chociaż już parę set kozłów zwabiłem w mojem życiu.

Zdarzyło się, iż pewien dostojny łowiec, który się nieraz dawał z tem słyszeć, że żadnej wagi nie przywiązuje do polowań na wabia, wyraził raz życzenie, ażebym mu w tym względzie sztukę swoją pokazał. Zgodziłem się na to. Sceną mego galowego przedstawienia był dobrze mi znany rewir z bogatym zwierzostanem. Stawiłem się na miejscu z dwoma wabikami w kieszeni: przybył i gość mój dostojny. Począłem wabić w tonach pełnych tęsknoty, to znów pełnych trwogi — ale nadaremnie. Nareszcie po dwóch godzinach włóczenia się po lesie, ukłonił mi się dostojny gość z sarkastycznym uśmiechem na ustach, a podawszy rękę, pocieszał łaskawie z powodu doznanego niepowodzenia. Oblał mnie rumieniec wstydu i upokorzenia — bo, kochany czytelniku, czy brali Cię kiedy dyabli? Ja życzyłem sobie wówczas, żeby mnie dyabli wzięli — mnie, muzykanta niefortunnego! Lecz poczekajcie przeklęte kozły — mówiłem sobie w duchu — pokażę ja wam jeszcze kiedyś!

Jakoż wyprosiłem sobie drugą wycieczkę u dostojnego gościa w jednym z dni najbliższych. A będąc w ogóle upartym, pozwoliłem sobie następnego rana wabić na tych samych stanowiskach, na których czułą muzykę moją tak sromotne *fiasco* spotkało. I otóż zaraz na pierwszem stanowisku, wśród złej bardzo, wietrznej pogody, wypadł na nas kozioł jak szalony, tak niespodziewanie, że gość mój, mówiąc nawiasem strzelec wyśmienity, spudłował go dwoma strzałami. Gdybym był złośliwym, byłbym na odwet okrasił uśmiechem sarkastycznym me wargi. Lecz one zajęte były mikotaniem i ściągały dalszą zwierzynę. W dwóch niespełna godzinach legło cztery piękne kozły.

Wedle mych doświadczeń, streszczam zasady tyczące się wabienia kozłów w następujących punktach, nie wymagających żadnej czarodziejskiej sztuki.

1. Idąc polować na wabia, nie staram się wcale o stanowisko bardzo ukryte. Niejaskrawa odzież, czujność i spokój, zastąpią wszelkie zakrycia, które są owszem szkodliwe, jeśli odbierają swobodę ruchów i zręczność łatwego rozglądania się w około. Najlepszem przeto jest stanowisko wśród starodrzewu, zdala od młodych zapustów.

2. Staję zwykle tak, że prawe moje ramię zwróconem jest stale ku tej stronie, ku której się zbiżałem.

3. Zbliżam się do upatrzonego stanowiska buszując, a zaczynam mikotać (wabić) dopiero w kilka minut po zajęciu stanowiska, ponawiam zaś piski w krótkich odstępach po sobie, mniej więcej co 5 minut. Pospiech i niecierpliwość nie przyczyniają się do powodzenia.

4. Zejście ze stanowiska, zbliżanie się ku innemu, zajęcie go i dalszy mikot (wabienie) odbywa się z zachowaniem tych samych ostrożności.

5. Przy mikotaniu przenoszę naśladowanie zwyczajnych pisków nad głosy przestrachu i uciekam się do nich dopiero wtedy, gdy piski ukazały się bezskuteczne.

6. We wielu wypadkach podziwiałem chytrość i przezorność, z jaką kozioł stara się zająć stanowisko, jeśli na odgłos wabika wyskakuje lub podchodzi. Na dziesięć wypadków ukaże się pewnie 9 razy od strony przeciwnej jak ta, skąd go głos dochodzi, i w ten sposób, że łeb i pierś będą zakryte.

7. Uwzględniając tę taktykę kozła, wabie w ten sposób, iż używam kułaka prawej ręki na kształt tuby, i zwracam się w różne strony, ażeby zwierza zbałamucić.

8. Pojawienie się siut na odgłos mikotania nie jest wcale pożądanem, nie może być wszakże za błąd w sposobie wabienia uważane. Szczególniej stare siuty, usłyszawszy głos, naśladujący tęskliwe wołanie młodej, zbliżają się, aby korzystać ze sposobności, przy której młode i niedoświadczone kozy zwykły się trwożnie zachowywać, lub pociągnąć ku sobie inne, na wabią zbliżające się kozły. Należy przeto zawsze rozpoznać płeć, nim się da strzał do zwierza, nadchodzącego na odgłos mikotu.

Wypada mi tu jeszcze wspomnieć o jednem z moich przyzwyczajeń przy podchodzeniu zwierza, które uważam za potrzebne i skuteczne. Oto nie patrzę się nigdy pełnym wzrokiem na zwierza, który na mnie wychodzi lub do którego się zbliżam. Wystarcza mi zawsze spojrzeć tylko na tułow i nogi dla ocenienia pozycyi zwierza, ukradkiem niejako, z pod spadającej krysy kapelusza. Mam bowiem to przekonanie, że podobnie jak głos, tak i spojrzenie wywiera silny, magnetyczno-psychiczny wpływ na zwierza i odgrywa przeto nie mały wpływ w łowiectwie.

Wabienie czyli mikotanie jest rodzajem muzyki, której z książek ani z opowiadania nauczyć się nie można. Trzeba koniecznie iść do zielonej kniei, jako do szkoły, i tam starać się jedyną, uprawnioną do tego nauczycielkę podsłuchać. A i to nie zawsze wystarczy! Stare przysłowie łacińskie mówi: *Si duo faciunt idem — non est idem* — choć dwaj robią to samo, przecież to nie to samo. Pewien stary dozorca polowania, Niemiec, któremu posłano całą paczkę miejskich Nimrodów, pragnących polować na wabika, taką zdał relacyę swemu nadleśniczemu: *Pfiffen haben s'gnua selbige Stadtherr'n, plärrt a, aber kemma is halt nix!*

Mania polowania z mikotem przybrała w ostatnich czasach zastraszające rozmiary, a w ślad za tem zalecanie mikotów rozmaitych form i konstrukcyi. Bóg wie, jakie instrumenta sporządzono dla dyletantów tej kniejowej muzyki, może i ród sarni byłby już od tych mikotań zaginał — ale w tej sprawie ma na szczęście jeszcze ktoś trzeci głos, t. j. sam kozioł, szlachetny, prześliczny, lecz zdawałoby się, że nieraz szpakami karmiony.

Łowiec strzelający dobrze, a wyćwiczony w mikotaniu, może w ciągu jednego godowego sezonu sarn cały ród kozłów wytępić, sumiennym przeto obowiązkiem łowca jest zachować ścisłą miarę w polowaniach na wabia.

Jeżeli przy rozpoczęciu mikotania wyskoczy siuta, to bywa czasem wskazane, ażeby jej się w całej swej osobie pokazać, i tym sposobem ją spłoszyć. Może być jednak i to pożytecznem, ażeby cierpieć jej sąsiedztwo — a w tym względzie rozstrzygać musi doświadczenie i przytomność myśliwego.

Jeżeli na odgłos mikotu dwa kozły naraz nadbiegną, i to ze stron przeciwnych, to myśliwy musi tem większy zachować spokój i roztropność. Dobrze jest, aby sobie przypomniał wówczas przysłowie o wróblu w ręce a gołębiu na dachu, bo siąść na ziemi między dwoma kozłami, które umkną, jest tak samo nieprzyjemnie jak między dwoma stołkami. Dubleta na dwie strony wymaga mistrzowstwa w strzelaniu, którego samem ćwiczeniem nabyć się nie da.

Mnie zdarzyły się dwie dublety przy polowaniu na wabia. Opisaniem ich zamknę niniejszą gawędę.

W starej wysokopiennej kniei wyszedł mi zaraz po pierwszem zamikotaniu na jakie 120 kroków piękny kozioł, szóstak, tak się jednak ustawił, że nie podobna było o pewnym strzale myśleć. Właśnie chciałem zapiszczeć półgłośno na mikocie, żeby kozła z zakrytego stanowiska wywabić, gdy wtem ujrzałem w tym samym kierunku drugą ciemnorudą sztukę, jak ze zwieszonym łbem powoli nachodziła. Pierwszy kozioł musiał także nadchodzące zwierzę spostrzedz i za rywala je uznać, gdyż wyszedł ze swego ukrycia i zbliżywszy się ku mnie o jakie 50 kroków, ciągle poza siebie spozierał. I wkrótce na tem samem miejscu, które pierwszy kozioł opuścił, ujrzałem drugiego wspaniałego, jak głowę podniósł i wzrokiem zwycięzcy rozglądał się w około. Położenie stawało się naprężone i krytyczne. Potężny stary kozioł stał na sztych o jakich 120 kroków. mniejszy szóstak był na 60 kroków oddalonym i miał ochotę umykać przed groźnym rywalem. Zdecydowałem się szybko, podniosłem sztuciec do oka i celując ponad grzbiet mniejszego kozła, dałem ognia do większego, który na sztych był ku mnie zwrócony. Wzięty na muszkę kozioł padł w ogniu, pierwszy zaś mimo to stał jak wmurowany z szyją wyciągniętą. Pokonawszy pierwsze zdziwienie, wsunąłem szybko kulę do sztućca, a mierząc w spokojnie stojącego drugiego kozła jak w tarczę, położyłem i tego na miejscu. Gdy mi wspaniałą zdobycz przyniesiono, kazałem natychmiast obielić mniejszego kozła, aby sprawdzić domysł, tyczący się zagadkowego zachowania się tegoż po pierwszym strzale. I domysł mój sprawdził się w zupełności. Pierwsza kula otarła się o kość pacierzową mniejszsgo kozła i spowodowała chwilowe sparaliżowanie. Świadczyła o tem szeroka na palec, czarno nabiegła szrama na grzbiecie zwierza.

Druga dubleta, przy której dałem tylko jeden strzał kulą, była we wszystkich swych szczegółach jeszcze oryginalniejsza i ciekawsza.

Pewien majętny a zaprzyjaźniony ze mną właściciel polowania poruczył mi odstrzelenie preliminowanej z góry ilości kozłów w obfitującym a niedaleko odemnie położonym rewirze. Dla spełnienia tego miłego polecenia mogłem się z domu tylko na trzy dni oddalić, a żem czas ten gruntownie chciał wyzyskać, telegrafowałem do leśniczego, żeby na pewnem, najbliższem odemnie stanowisku czekał już na mnie wcześnie rano strzelec, zamierzałem bowiem przedtem, nim się w zamku stawię, przejść z wabikiem jeden z najbliższych rewirów. Znając najdokładniej rewir, poleciłem strzelcowi, ażeby na oznaczonem miejscu czekał mego powrotu lub sygnału, sam zaś puściłem się bezzwłocznie w knieję.

Była godzina 9 rano. Buszując ostrożnie brzegiem młodego lasu, poza którym miałem zamiar zapiszczeć na mikocie, usłyszałem nagle pisk młodej sarny. Położenie było takie, że mogłem podchodzić bez szmeru ku miejscu, skąd mnie pisk doszedł. Zaledwom się puścił w tym kierunku, usłyszałem ponownie pisk sarny na jakie 100 kroków od siebie, w okolicy lizawki, której położenie bardzo dobrze znałem. W kilka minut podkradłem się w to miejsce i tu przedstawiła mi się wielce zajmująca i niespodziewana scena.

Poza dębem klęczał odwrócony odemnie twarzą drab jakiś z flintą w ręku i właśnie w chwili, gdym go na kilka kroków zeszedł, wydał ze siebie z nieporównaną wiernością głos wabiącej sarny. W chwilkę potem szelest między krzakami zapowiedział zbliżającego się zwierza. I w istocie ukazał się z przeciwległej strony potężny kozioł i zatrzymał się w ukryciu na brzegu łączki, gdzie była lizawka, nie dalej jak na 80 kroków odemnie. Ha, no, spróbujmy! Bez najmniejszego szmeru podniosłem sztuciec do oka i palnąłem...

Nie troszcząc się na razie tem, co się z kozłem stało, zatrzymałem sztuciec przy twarzy i spojrzałem ku dębowi, pod którym kłusownik przerażony strzałem skoczył, zwracając się ku mnie.

— Złóż broń i odejdź w tył o dziesięć kroków! — zawołałem groźnie. — Na każdy inny ruch odpowiem kulą.

Kłusownik mierzył mnie przez chwilę groźnem spojrzeniem, wahając się, co począć. Ale ja miałem górę nad nim; stałem o 15 kroków, zakryty dębem i z sztućcem przy twarzy — on zaś, odkryty zupełnie i widocznie nabierający przekonania, że przy jakimkolwiek innym ruchu z jego strony groźbę mą wykonam. Puścił przeto strzelbę na ziemię i z pewnem wahaniem począł się ku mnie zbliżać. Kazałem mu stanąć i zatrąbiłem na strzelca.

Co się dalej stało, nie należy już do rzeczy, to jednak pewna, że dubleta jednostrzałowa kozioł: i kłusownik — nie codzień się trafi.

Z obcych światów.

W KRAJU SOMALISÓW.

Sportsmeni austryaccy hr. Ernest Hoyos i hr. Ryszard Coudenhove wrócili przed kilkoma miesiącami z wyprawy myśliwskiej na wschodniem wybrzeżu Afryki, w kraju Somalisów, z bogatemi trofeami. Powtarzamy tu za hr. Hoyosem szczegóły z tej wyprawy.

„Ze wszystkich nadbrzeżnych krajów Afryki — pisze hr. Hoyos — był kraj Somalisów najdłużej dla Europejczyków zamknięty; dopiero od kilku lat zapuszczają się dobrze uzbrojone ekspedycye do wnętrza tego kraju. Jak zazwyczaj, tak i w tym wypadku, byli to sportsmeni angielscy, którzy spełnili obowiązek pionierów, a świetne ich zdobycze łowieckie skłoniły także i nas do wyprawy w owe kraje, dopóki, ulegając losowi wszystkich zamorskich terenów łowieckich, nie zostaną i one ze zwierzyny ogołocone.

Kraj Somalisów zajmuje przeważną część t. z. wschodniego rogu Afryki, który między 11 stopniem północnej szerokości a równikiem wystercza z lądu afrykańskiego jak ostroga na wody oceanu indyjskiego, i kończy się strasznym dla wszystkich żeglarzy przylądkiem Guardafui. Otoczony wodami oceanu od północy i od wschodu, sięga na zachód aż ku wyżynie abisyńskiej, a na południe do rzeki Tana.

Olbrzymie to terytoryum zamieszkują dwa różne szczepy Większą, wschodnią część zajęły przenoszące się z miejsca na miejsca nomadyjskie plemiona Somalisów, w zachodniej części mieszka rolniczy szczep Gallasów. Somalisowie i Gallasowie są zajadłymi nieprzyjaciołmi, a środkowy, niezamieszkały pas kraju, to arena krwawych utarczek, które ze sobą staczają. Ponieważ zaś rzadko kiedy jedna lub druga strona w te dzikie ostępy środkowe się zapuszcza, więc są one najbardziej zwierzętami łownemi zapełnione.

Kraj Somalisów ma przeważnie charakter stepu, porośniętego tu i owdzie kolczatemi, małemi i większemi krzewami, gdzieniegdzie zaś drzewami, które kształtem swym nasze drzewa owocowe w porze zimowej przypominają, lecz są od nich w górze bardziej spłaszczone. Miejscami przerywają step monotonne zarośla. Najbujniejszą jest roślinność na wybrzeżach rzek i przechodzi w urocze gaje. Od północnego wybrzeża morskiego wznosi się ląd zrazu lekko, dalej zaś coraz stromiej i przechodzi w płaskowyże, które się w kierunku południowo-wschodnim ku oceanowi indyjskiemu obniża. To płaskowyże stepowe, poprzerywane gdzieniegdzie łańcuchami wzgórzy i gór o właściwej Afryce płaskim konturze, przeżynają głębokie łożyska rzek, szumiących wodami tylko w porze deszczowej, a zresztą suche i mające jedynie pewne, przez karawany dobrze znane cysternowe zagłębienia, w których się woda dłuższy czas utrzymuje. Rzeka Szebeli — „Webbi Szebeli“ — wypływająca ze źródeł, wytryskających na południe od Hararu, jest pierwszą z rzek, którą się na drodze ku południowi napotyka. Rzece tej wyjątkowo nie brak wody w żadnej porze roku.

Charakterystycznemi nietylko dla kraju Somalisów lecz w ogóle dla całej wschodniej Afryki są kopce termitów (mrówek) z czerwonej glinki, mające jużto kształt stożków, jużto kolumn, dochodzących do 5 metrów wysokości. Dla myśliwego mają one wartość zasłony, cennej przy podchodzeniu i wypatrywaniu zwierza.

Już przeszłego lata zapewniliśmy sobie pomoc najwytrawniejszego w krainie Somalisów przywódcy karawan, Ali Khar'a, który też poczynił w Adenie i Berberze wszelkie przygotowania do naszej wyprawy. Potrzebne namioty, przybory obozowe, broń, amunicyę i uprząż, oraz konserwy prowiantowe zakupiłem sam w Londynie i wysłałem to wprost do Adenu.

W dzień św. Huberta (d. 3. listopada) 1893 wsiedliśmy w Tryeście na parowiec Lloyda „Imperator“ i po przyjemnej podróży na tym najwygodniejszym ze wszystkich statków, wylądowaliśmy d. 12 listopada w Adenie. Dn. 15 listopada opuściliśmy wraz z Ali Kharem port adeński na małym parowcu. Razem z nami jechali już niektórzy z przyszłych towarzyszy wyprawy i cały nasz bagaż podróżny. Po czterodniowym, nie tak już miłym pobycie na wodach oceanu indyjskiego, zawinęliśmy do Berbery.

Tu nastąpiły trzy dni wytężającej pracy nad ostatecznem zorganizowaniem wyprawy. Trzeba było jeszcze ludzi werbować, dawać im na rękę zadatki, zapisywać ich nazwiska, zakupywać wielbłądy, konie, osły, owce, towary wymienne, przedmioty na podarunki, prowiant dla karawany i t. d. To też od rana do nocy wypakowywało się i zabijało paki, i całą tą pracą musiałem sam jako przyszły szef ekspedycyi komenderować.

Berberyjski ajent polityczny angielski stawiał nam mnóstwo przeszkód w organizowaniu szczegółów ekspedycyi tak, iż w końcu zdawało się, iż całkiem nie będzie mogła przyjść do skutku. Lecz udało mi się intrygi tego człowieka pokrzyżować i nareszcie w d. 22 listopada 1893 o godz. pół do 4ej rano, karawana nasza złożona z 50 ludzi i 60 wielbłądów opuściła Berberę, kierując się ku środkowi czarnego lądu.

W dniu 11 marca 1894 wróciliśmy szczęśliwie do Berbery nie straciwszy ani jednego człowieka. Bez Ali Khara

nie byłoby się nam nigdy udało wyprawę tę tak pomyślnie odbyć. Nietylko trzymał on w ryzach naszych ludzi i był przez nich szanowany i lubiany, lecz umiał także całą karawanę od początku do końca w dobrym stanie utrzymać, starał się o wyżywienie wielbłądów i należyte wyzyskanie sił ich w marszu, tak, iż postradaliśmy tylko kilka sztuk i to w skutek ukąszeń muchy Tse-tse i jadowitych wężów. Główna zasługa Ali-Khara polegała jednak w tem, że jako urodzony dyplomata i zręczny mowca umiał po mistrzowsku traktować z przedstawicielami tych pokoleń Salamisów, których posiadłości karawana przebywała, i tym sposobem nietylko ustrzegł nas od krwawych starć, lecz także niejedną pakę towarów zamiennych zaoszczędził. I w istocie w traktowaniu z Somalisami trzeba nadzwyczaj wiele ostrożności. Świadczy o tem okoliczność, że przed wyjazdem z Aden otrzymaliśmy od rezydenta angielskiego całą broszurę drukowaną, w której zawarto rozliczne przepisy co do postępowania podróżników w kraju Somalisów, jak np. każdorazowe ogradzanie obozowiska „zeribą“, rodzajem krzewu kolczatego, stawianie licznych staży i t. p.

Somalisy, nie będący właściwymi negrami lecz należący do rasy hamickiej, są szczepem dumnym choć dzikim. Widzieć można między nimi ludzi o bardzo szlachetnych rysach twarzy, z oczyma wyrazistemi, pełnemi inteligencyi. Nieustraszona odwaga jest głównym ich przedmiotem, wyrabiają w sobie prawdziwe męstwo w ciągłych walkach między sobą i z drapieżnemi zwierzętami. To też karawana może liczyć na swych ludzi w chwili niebezpieczeństwa i być pewną, że z bojaźni nie pierzchną.

Somalisy są wprawdzie nędznymi strzelcami i tylko ci, którzy w włoskiej armii słu yli lub w większych ekspedycyach brali udział, umią się z palną bronią obchodzić; ale dajmy Somalisowi dwa jego dziryty i małą okrągłą tarczę, a pokaże się w całym blasku swej odwagi. Otóż takimi byli nasi towarzysze podróży, a żeśmy najlepszych z pomiędzy dobrych dostali, postarał się już o to Ali-Khar.

Namiętność badań uniosła nas daleko na południe. Przebywszy Hargejzę i Milmil, posunęliśmy się przez Webbi Szebeli, t. j. rzekę lampartów i wkroczyliśmy w kraj dzikiego szczepu Aulihanów, który po raz pierwszy zetknął się z Europejczykami i zawarł z nami przyjaźń

Podczas gdy hr. Coudenhove, zachęcony świetnemi relacyami o lwach, szukał tu, choć nadaremnie, szczęścia w polowaniu na nie, pospieszyłem ja dalej aż w krainę Gallasów. Tu spotkały mnie pierwsze przykrości ze strony krajowców, którzy chcieli mi koniecznie kraść wielbłądy, i w tym celu mimo odstraszających strzałów naszej straży, krążyli bez ustanku około obozowego płotu z zeriby — ale co gorsza, nabawiłem się tu malaryi, która mnie wkrótce z nóg zwaliła i tak sił pozbawiła, żem się czuł słaby jak mucha. Pomimo więc całego bogactwa zwierząt łownych, umknęliśmy z tego kraju niegościnnego, nie ubiwszy ani jednej z żyraf, w które kraj ów obfituje.

Najbardziej na południe położona miejscowość, do którejśmy w podróży naszej dotarli, leży mniej więcej o trzy dni drogi od tajemniczej rzeki Juby, która jeszcze pod względem geograficznym nie jest dostatecznie zbadaną. Stąd zwróciliśmy się więcej ku zachodowi i innemi szlakami zbliżyliśmy się znowu przez Milmil ku Berberze. W marszu tym przebywaliśmy okolice w zwierzynę bardzo obfite, lecz nigdzie nie mogliśmy się dłuższy czas nad parę dni zatrzymać, bo zapasy żywności naszej miały się już ku końcowi.

Jeżeli tedy rozważymy, żeśmy w ciągu całej naszej wyprawy więcej właściwie maszerowali niż polowali, możemy być zadowoleni z naszej listy strzałowej, która się przedstawia jak następuje:

Ubili:

Hr. Coudenhove	Hr. Hoyos:	
	1	słonia (merodi)*) *Elephas africanus.*
3	8	nosorożców (whil) *Rhinoceros bicornis.*
1	2	guźców (dofur) *Phacochoerus aethiopicus.*
1	7	zeber (ferro) *Zebra Grevianus.*
—	2	dużych Kudu (godr) *Strepsiceros Kudu.*
1	2	małych Kudu (aderio) *Strepsiceros imberbis.*
1	2	antylop Koba (blango) *Cobus ellipsiprymnus.*
3	12	antylop Bejza (beez) *Oryx beisa.*
2	1	antylop karłowych (dik-dik) *Antilope saltianus.*
9	13	gazel Soemeringa (aul) *Gazella Soemeringi.*
5	9	gazel Wallera (gerenuk) *Gazella Walleri.*
1	1	gazel nizinowych (dhero) *Gazella Pelzelni.*
—	1	gazel górskich (dhero) *Gazella naso.*
4	1	lwów (libah) *Felis leo.*
—	1	panterę (szebeli) *Felis pardus.*
—	1	hyenę (barawa) *Hyaene crocuta.*
3	1	szakali (dana) *Canis mesomelas.*
1	—	dziki pies (diei) *Canis pictus.*

A teraz niektóre szczegóły do tej listy strzałowej, wykazującej na rzecz hr. Coudenhove'a 35, na rzecz moją 64 tj. razem 99 sztuk ubitej zwierzyny.

Chociaż nieraz od wczesnego ranka aż do popołudnia szliśmy za wytłokami słoni, nie udało nam się nigdy przyjść w ten sposób do strzału. Parę razy umknęły one z powodu niekorzystnego wiatru, zazwyczaj jednak odstępowaliśmy od dalszego tropienia, nie mogąc wcale zejść słoni. Są to wędrowcy na wielką skalę i skoro ich co niepokoi, porzucają poprostu zajmowane poprzód ostoje. Mojego słonia ubiłem przy buszowaniu, przyczem niestety postrzeliłem i drugą sztukę, lecz nie mogłem jej już dostać. Kły starego słonia mojego, z obłamanemi końcami, mierzyły 100 i 109 centymetrów. Wysokość słonia dochodziła do 3 metrów, długość zaś, mierzona od końca trąby do końca ogona, wynosiła 7.52 metrów.

Z nosorożcami mieliśmy kilka niebezpiecznych przepraw. Coudenhove, goniony dłuższy czas przez ranionego nosorożca, zdołał mu się wymknąć tylko w ten sposób, że susem rozpaczliwym rzucił się w gąszcz. Moja przeprawa była następująca. Posuwałem się za dwoma nosorożcami, które przedemną wśród kolczatych zarośli postępowały. Wtem zdało mi się, że poczęły uciekać, podbiegłem tedy i zatrzy-

*) Wszędzie w nawiasie podane są nazwy somalickie.

małem się za krzakiem, aby je dalej śledzić, gdy wtem stary nosorożec, który właśnie za tym samym krzakiem na mnie czatował, parskając ze złości ku mnie się rzucił. Miałem tylko tyle czasu, ażeby strzelbę z naciągniętemi kurkami do połowy wyciągnąć i strzelić. Szczęśliwie ugodziłem zwierza w komorę, padł też odrazu u nóg moich. Wtem młody nosorożec wypadł na mnie z przeciwnej strony. Strzeliłem i do niego; ugodzony krzycząc przeraźliwie, począł się zataczać. Wówczas wstał jeszcze stary nosorożec i brocząc farbą z paszczy i nozdrzy zwrócił się ku mnie. Strzał dany poza ucho dobił go. Najdłuższy róg nosorożcowy, który przywiozłem, mierzy 52 centymetrów i ma u nasady w obwodzie 55 5 centymetrów.

Afrykański dzik, czyli g u z i e c, jest węższy i na wyższych nogach, niż europejski, a samce posiadają o wiele dłuższe i bardziej zakrzywione szable. Samalisowie uważają guźca za zwierzę nieczyste, dotykają się go ze wstrętem — ubiłem więc tylko dwie sztuki, z których samica szarżowała na mnie rezolutnie po pierwszym raniącym ją strzale.

Z e b r y są znacznie większe i silniej zbudowane niż sobie wyobrażałem. Stojąca grzywa i duży czub nad czołem dają im wygląd zuchowaty. Nie masz nic piękniejszego nad widok tych zwierząt o połyskującej i pręgowatej sierci, gdy igrają na stepie, przeganiają się i wzburzone prychają, grzebiąc ziemię kopytkami. Wielce oryginalnym jest podobny do rżenia głos, który z siebie wydają.

Ze wszystkich antylop afrykańskich ma w i e l k i K u d u najpiękniejsze i najdłuższe rogi. Dochodzą one do 4 stóp długości. Nie udało mi się niestety ubić starszego, dużego kozła; dwa mniejsze jedynie stały się moją zdobyczą.

Ubiłem natomiast starszego kozła z drugiego, mniejszego rodzaju kudu, o rogach wspaniałych. Prześliczne te antylopy o rdzawo-brunatnej sierci z śnieżno-białemi pręgami, przebywają, podobnie jak wielki kudu, w pobliżu wód, w zaroślach, i tam trzeba je podchodzić.

K o b a pojawia się w nadbrzeżnych lasach rzek, toczących przez cały rok swe wody, to też zdybywaliśmy się z tym rzadkim zwierzem tylko w gajach, rosnących nad brzegami rzeki lamparciej.

Najwspanialszą ze wszystkich antylop kraju Solimasów, jest a n t y l o p a B e j z a. Ma ona blisko metrowe, nieznacznie tylko ku tyłowi wygięte rogi. Polowaliśmy kilka razy *par force*, ale na własnych nogach, na te bardzo płoche zwierzęta. Tylko w ten sposób udało się nam dojść do strzału, gdy już pierzchły z miejsca. Wtedy to, biegnąc za niemi, trzeba korzystać z chwili, gdy bejza przechodzi z galopu w trucht, a potem staje i na prześladowcę się ogląda. Rozumie się, że gdy patrzy poza siebie, a strzał jest jeszcze za daleki, musi się myśliwy w podbieganiu wstrzymać i stać nieporuszenie o ile możności zakryty, gdyż inaczej pierzcha zwierz znowu i znika z oczu na zawsze.

Najmniejszą i najozdobniejszą antylopką jest t. z. D i k - d i k. Nie większa ona od świeżo na świat wydanego sarniątka. Widzi się je wszędzie parami, uganiające w zgrabnych susach. Nie mogliśmy tego przenieść na sobie, aby do tych milutkich zwierzątek strzelać, ubiliśmy więc tylko parę sztuk dla ciekawości.

Gazel znaleźliśmy cztery gatunki. W otwartych stepach krzaczystych trafia się najczęściej G a z e l a S o e m e r i n g a, trzymająca się w dużych stadkach. G a z e l ę W a l l e r a poczytać należy za najpłochliwsze ze zwierząt kraju Somalisów. Ta właśnie okoliczność podnosiła we mnie uczucie radości i dumy, gdy mi się się udało kilka kozłów upolować. Komicznym jest widok tych gazel, gdy stojąc na tylnych badylach, wyciągają swe niezwykle długie szyje, ażeby po górnych gałęziach drzew żerować. Gazele nizinowe i górskie podobne są zupełnie kształtem i wielkością do gazel północno-afrykańskich.

Na l w a, który jeszcze dość często w kraju Somalisów się trafia, polują tam w dwojaki sposób. Jedna metoda jest taka. Idzie się za tropem lwa, dopóki się go nie weźmie na oko lub nie obetnie w gęstwinie, poczem zajmuje się stanowisko, a nagonka rzucając kamieniami i krzycząc wyrusza go z legowiska. Jeżeli to nie pomaga, podkłada się ogień pod trawy i krzewy, ażeby lwa z ukrycia wyparować. Próbowaliśmy kilkakrotnie w ten sposób na lwa polować, lecz niestety bezskutecznie. Trop, wyraźny zrazu w piaskowych nizinach, gubi się bardzo łatwo na kamienistym i gęstemi krzewami zarośniętym gruncie pagórków. Jeden, jedyny raz, gdyśmy mimo to tropu nawet wśród zarośli nie zgubili, padła ulewa po kilkogodzinnem tropieniu i zalała dalsze ślady zupełnie.

Drugą metodą polowania na lwa, jest zasiadka nocna przy zabitej sztuce bydła, lub przy uwiązanym, żywym ośle, jakeśmy to najczęściej robili. W tym celu robi się rodzaj krytej altany z kolczastych gałęzi, w której pozostawiono owalny otwór do strzelania. Nie dalej jak na trzy kroki od altany stoi osioł, przywiązany za przednie nogi do kamienia, osadzonego w ziemi. Raz wydarzyło mi się tak nieszczęśliwie, że lew napadłszy osła, urwał sznur, osła zawlókł za pobliskie krzaki i tam go pożerał. Słyszałem to wszystko, lecz nie mogłem wziąć rabusia na cel i strzelić. Gdy się rozwidniło, powlókł już lew resztki osła w dalsze krzaki i pochód za tropem stał się niemożliwy. Coudenhove był także raz na zasiadce wyczekując lwa przy zwłokach biednego pastucha, którego rabuś ów powalił; daremnie jednak rabusia oczekiwał, gdyż odstraszał go rzewny śpiew dziewcząt, opłakujących wczesny zgon pastucha.

Ponieważ zaraz z początku naszej wyprawy w zasiadce nocnej jednego lwa ubiłem a drugiego postrzeliłem, nie mogąc go wszakże dojść do dalszego strzału po tropie — a towarzysz mój nie miał spotkania z lwem, przeto zostawiałem mu pierwszeństwo przy wszelkich dalszych sposobnościach, gdzie się można było lwa spodziewać. Lecz chociaż sposobności tych było dosyć, nie miał hr. Coudenhove szczęścia pomimo, że niejedną noc na zasiadkach przepędził. Dopiero w ostatniej godzinie wynagrodziła go Diana sowicie za doznane zawody.

Gdym ubił słonia, pouczyły nas znalezione na drugi dzień tropy, że cielsko jego zwabiło całą rodzinę lwów. Coudenhove korzystał z tego, urządzono zakryte stanowisko z gałęzi zeriby, przywiązano przed niem osła i Coudenhove strzelał w ciągu jednej nocy do sześciu lwów, z których cztery trafił. Lwica i dwa porządne samce grzywacze, leżały nazajutrz koło altany Coudenhove'a, czwartego zaś postrzelonego lwa dostał również po niedługim pochodzie za tropem. Ponieważ noc była jasna, księżycowa, mógł towarzysz mój obserwować należycie lwy, zbliżające się pojedyńczo lub parami; okrążały one zrazu przywiązanego osła, potem siadały i dopiero skokiem kocim rzucały się na niego. Ciągłym rykiem dodawały zresztą charakterystycznej grozy całemu temu, tak nadzwyczajnemu polowaniu. Stało się ono godnym całej wyprawy epilogiem, gdyż w dwa dni później musieliśmy już dla braku żywności marszami pospiesznemi podążyć ku Berberze.

Chociaż p a n t e r a w kraju Somalisów pojawiać się ma dość często, rzadko się można z nią spotkać, a to z powodu jej nocnego trybu życia. Widzieliśmy też tylko dwie

pantery w ciągu naszej wyprawy: jedna z nich krążyła jakiś czas około naszej karawany i ścigana konno wpadła w głęboki, gęsto zarośnięty parów bez śladu; druga padła od mego sztućca, nim zdołała wydrapać się na stromy brzeg łożyska rzecznego, w którem ją spłoszył jeden z naszych ludzi, poszukujący wody.

Hyeną i szakalem brzydzą się Somalisowie jako zwierzętami nieczystemi, które się padliną żywią. Sportsmeni żałują także kuli na te tchórzliwe rabusie. To też tylko jednego szakala i jedną hyenę — pomimo, żeśmy tego dużo widywali — zabiłem w ciągu marszu karawany, o zmierzchu porannym, gdy do swych legowisk ukradkiem wracały.

Trudno sobie wyobrazić coś bardziej obrzydliwego i posępnego, jak wstrętny, do ludzkiego podobny śmiech hyen, gdy przy ścierwie się ze sobą gryzą. Wycie i szczekanie szakali śród nocy księżycowych, przypomina ze wszystkiem szczekanie i wycie ich zaatlantyckich pobratymców na preryach północnej Ameryki.

Coudenhove miał szczęście spotkać dwa szczególne psy dzikie o bardzo pięknie znaczonej sierci i ubił jedną sztukę. Mają one podobnie jak nasze wilki, lub dzikie psy Indyj, polować całemi rudlami i robią wielkie zniszczenie śród zwierzyny łownej.

Jedyną wielką zwierzyną, którąśmy widzieli, lecz nie zdołali z niej ani jednej sztuki zabić, były żyrafy Dwa razy podchodziłem je już na strzał, ale pierwszym razem zepsuli mi podchodzenie właśni ludzie, drugim razem nieprzyjaźni Gallasowie, którzy, wzniosłszy niespodzianie wojowniczy okrzyk w pobliżu, żyrafy spłoszyli. Jak już wzmiankowałem, zmusiła mnie choroba do nagłego opuszczenia okolic przez żyrafy zamieszkałych, więc pocieszałem się tylko tem, żem te rzadkie i piękne zwierzęta w dzikiej ich ojczyźnie widział.

Dla myśliwych nie będzie też bez interesu wiadomość, jaką bronią posługiwaliśmy się w ciągu naszej wyprawy. Mieliśmy dużo strzelb, lecz obaj używaliśmy z zaufaniem tylko po dwie sztuki palnej broni. Coudenhove miał dubeltówkę Rifle, cal. 10 i ekspresa dubeltowego 577, obie bronie od Hollanda z Londynu. Moją najmilszą bronią była dubeltówka Paradox wyrobu Hollanda, cal. 10, do pełnych kul. Ma ona gładkie lufy i dopiero przy końcu, nie więcej jak na 10 centymetrów, jest gwintowaną. Wskutek zmniejszonego tarcia osiągnięto w niej tym sposobem większą szybkość pocisku, obok wielkiej siły przebijającej, a z drugiej strony zapewniono celność sztućca na 1.0 kroków.

Chociaż przyznaję, że strzałami należycie sprecyzowanych sztućców małego kalibru — jak to wykazują najnowsze doświadczenia — można także tak wielkie zwierzęta jak słonie i nosorożce ubijać, to przecież sądzę, że sztuciec wielkiego kalibru większą daje pewność powstrzymania olbrzymiej bestyi, gdy się na myśliwego rzuca, bo uderzenie samo na cały system nerwowy zwierza potężniejsze wywiera wrażenie.

Jako bronią przy podchodnem na antylopy i gazele, posługiwałem się z predylekcyą podwójnym ekspressem Hollanda 450, ze względu na pewność i siłę strzału tej broni na wielkie odległości. Przekonał mnie wszakże ten sztuciec, z którego ekspanzywnemi kulami strzelałem, że kule pełne albo ekspanzywne z bardzo małem wydrążeniem, większy wywołują efekt przy strzale do zwierząt o tak grubej i elastycznej skórze jak skóra większych antylop, niż strzały zwyczajnemi kulami ekspanzywnemi.

KORESPONDENCYE.

Podkamień 19 sierpnia.

(Z błót.)

Całkiem słusznie szanowana Redakcya „Łowca“ odezwała się do grona myśliwych naszych, że zgasł u nich wszelki instynkt reporterski — niegdyś tak aż do przesytu rozwinięty u dziatwy św. Huberta w pierwszych latach założenia tego cennego myśliwskiego czasopisma. Zasłużoną też była zupełnie przymówka, że atrament wysechł w naszych kałamarzach. Dotkniętym i upokorzonym tą szłuszną naganą ja czuję się najsilniej, będąc od samego początku założenia czasopisma tego (co mi Szanowna Redakcya przyznać raczy) jednym z najważniejszych i najpilniejszych współpracowników*).

Zrzucając więc pychę z serca, ja pierwszy z pokorą uderzam się w piersi i wołam: *mea culpa* — w nadziei, że ten przykład zachęci innych towarzyszy z pod tego samego sztandaru. Wysechł i u mnie atrament w kałamarzu i złamało się pióro, ale nie z mojej winy.

Ile możności pragnąłbym złe naprawić i pobieżne uwagi o tegorocznych polowaniach błotnych przesłać, ale niestety, tegoroczny mój horyzont myśliwski wyjątkowo tak mało jest rozległy, że bardzo słabe tylko światło rzucić może na tegoroczny stan polowań błotnych. Ograniczać on się musi na małym obszarze błot moich własnych i tych, na których dzięki uprzejmości sąsiadów moich poluję, gdyż żadnych wycieczek dalszych, jak to od lat wielu co roku było moim zwyczajem, w ciągu tego lata nie przedsięwziąłem.

Nieustająca słota podczas sianokosów spławiła w mojej okolicy wielką ilość siana do Czarnego Morza, biedny inwentarz w ciągu wiosny już zdziesiątkowany motylicą, na przyszłą zimę prawdopodobnie będzie musiał myślą gonić za tem spławionem do morza sianem, stojąc przy żłobie o głodzie. Oto jest przyszły obraz gospodarstwa tegorocznego w mojej okolicy, ale ponieważ nie ma złego bez dobrego, w tym smutnym dla gospodarza obrazie znalazła się pociecha dla myśliwego. Z niedopławionych aż do Czarnego Morza kopic siana, wiele jeszcze pozostało po drodze na swej rodzinnej sianożęci, i tam zamulone, w stan formentacyi przechodząc powoli, stało się gniazdem milionów bakteryj, które, jak wiemy, są dla kszyków ulubionym specyałem, i stają się przyczyną niezwykle obfitych ciągów tych badaczy bakteryj, bieglejszych w tej sztuce od sławnego Kocha.

*) Przyznajemy z całego serca, i prosimy o dalsze przywództwo w naszem piśmie. Redakcya.

Od lat blisko czterdziestu zamieszkując tę okolicę a zamiłowany nad wszystkie inne w polowaniu na błotach, skrupulatnie zapisuję coroczne moje spostrzeżenia. Otóż nigdy, w przybliżeniu nawet nie przypominam sobie, ażebym spotkał podobną ilość kszyków, jak te roje, które zapadły na nasze bagna mniej więcej od św. Anny aż do pierwszych dni sierpnia. Pomimo dokuczliwego cierpienia reumatycznego, zapał myśliwski na nowo we mnie wzbudziły te zgraje przybyłych długodziobów, i pomimo tego, że mój niezrównany, ulubiony wyżeł Tago, doczekał się już bardzo podeszłego wieku, nie małe uczyniłem wyłomy w ich szeregach. Pomagali mi w tem dwaj młodzi sąsiedzi, zawołani myśliwi, i zazwyczaj brak ładunków zmuszał nas do przedwczesnego odwrotu z tych uroczych łowów. Tropikalne upały, które nastały w połowie sierpnia, wysuszyły nareszcie bagna, a więc i zastępy długodziobych przybyszów przerzedziły się znacznie, a zresztą może i bakteryj wreszcie zabrakło dla tej żarłoczny rzeszy; mam zawsze jednak nadzieję, że i ariergardy tej olbrzymiej armii niejedną chwilę nam jeszcze uprzyjemnić zdołają w przyszłości. Zadziwiającą jest rzeczą, że przytem ciąg dubeltów nadzwyczaj tu był słaby; znalazłem zaledwie kilka par.

W tej chwili rzuciwszy okiem na cenny artykuł: „Morituri“, p. Władysława Spausty, tego niezrównanego a tak sympatycznego badacza przyrody, którego każdą pracę z gorączkowem odczytuję zajęciem — smutna myśl mnie ogarnęła. Przepowiednia jego zupełnej, nieuniknionej zagłady łosia — mieszkańca puszcz Litwy i Polesia — przywiodła mi na myśl prawdopodobną bliską zagładę, choć w miniaturowych rozmiarach, tak dla nas ponętnej zwierzyny, to jest kszyka na bagnach naszych. A zdaje mi się, że mam do tego twierdzenia słuszne powody. Wychowany na głębokiem Podolu, pierwsze zapasy myśliwskie rozpocząłem na stepach Pantalichy, które w owych czasach były jeszcze ziemią dziewiczą, taką, jaką wyszła z rąk Stwórcy; pług jeszcze na niej skiby nie zaorał — a bagna i jeziora były siedzibą i legowiskiem niezliczonej ilości błotnego ptactwa. Tam to, młody myśliwy, wziąwszy do torby funt prochu, kilka funtów srutu, i kabzli zasób odpowiedni, zazwyczaj tuż przed zachodem słońca musiałem z żalem powracać do domu dla braku amunicyi. Takie-to było pole moich pierwszych myśliwskich popisów. Gdzie dziś już takie łowy znaleść w naszym kraju? Tegoroczny dopiero nalot kszyków w mojej okolicy przypomniał mi te błogie, dawno minione czasy.

Kultura dziś wszystko zmieniła. Dziś te stepy są ornem polem, tylko skowronek nad niemi lata, przepiórka lub chruściel odezwie się czasem — a nawet drop, ten stały przez lato i jesień mieszkaniec podolskich stepów, rzadko dość już przeciąga po nad swoją ukochaną niwą — a wkrótce zupełnie go ztamtąd wypłoszy świst lokomotywy. I w całym kraju systematyczne osuszanie bagien będzie musiało błotne ptactwo w inne wygonić strony i późniejsze pokolenia będą może wypchanego kszyka i dubelta oglądać kiedyś z ciekawością jako muzealne okazy, podobne do owej głowy żubra i łosia na tegorocznej wystawie. Z żalem myśleć trzeba o tej konieczności, przez wzgląd na późniejsze myśliwskie pokolenia, gdyż im prawdopodobnie nieznaną będzie przyjemność błotnego polowania, którą każdy, co jej tylko zaznał, do pierwszorzędnych zaliczyć musi. Kultura, której jest zadaniem nasze łany przerabiać na ogrodowe grzędy, a odwieczne bory na parki angielskie, w pewnym względzie niewątpliwie i zwierzostan w kraju do wysokiego podniesie stanu. Przyszłe pokolenia pewnie strzelać będą na setki zające, kuropatwy, chowane bażanty i indyki, ale kszyków strzelać nie będą! Ja — stary łowiec — na inszem wychowany polu, tych łowów przyszłości nie zazdroszczę.

Biedne długodzióbe ptaszęta! może wkrótce i na was zawołać trzeba będzie w naszym kraju: „Morituri!“

Leopold Starzeński.

Hadle 1. Sierpnia 1894 r.

(Nocami na dziki).

Będzie ciężka i zawalna zima tegoroczna, bo się dziki wypasają, żerując do białego dnia, a tak są zuchwałe, że się niemal wypędzić nie dadzą ze zboża, w którem robią niesłychane szkody.

Jestto moje własne zapatrywanie, przynajmniej nie słyszałem od nikogo o takiem, miałem już jednak kilkakrotnie sposobność sprawdzić trafność tego zdania, bo i dlaczegoż zresztą mielibyśmy odmawiać dzikom tego instynktu i daru odgadywania pogody i innych zmian klimatycznych w dalszej przyszłości, który u innych zwierząt jest skonstatowanym i służy nawet za podstawę, zwłaszcza u ludu wiejskiego, do wnioskowania o pogodzie i słocie.

Już na początku lata zauważano w naszej okolicy wielki ruch między dzikami, przyszły skądś nowe stadka i pojedynki, dawne się wyniosły, a szkody przez nich robione były tak dotkliwe, że przesłuchać nie mogłem skarg chłopów, którzy ustawicznie nachodzili mnie z prośbą o zaradzenie złemu.

Jakiś nawet gorliwy korespondent „Związku chłopskiego“ gazetki ludowej (wychodzącej w Sączu) opisał mnie jako zamiłowanego chodowcę dzików i innej osobliwej zwierzyny. Nie tyle obawa przed panem Potoczkiem i jego organem, co rzeczywisty wzgląd na własne i chłopów moich szkody, skłoniły mnie do polecenia straży leśnej, aby czuwała po nocach w polu i strzelała do dzików w celu przepłoszenia ich choć na parę tygodni w inne lasy.

Pewnej niedzieli, godzina 10. wieczór, deszcz leje jak z cebra, wsuwa się przez drzwi zmoknięta głowa podleśniczego do pokoju.

— A co tam Szymonie? — pytam.

— Dzika zabiliśmy z leśnym Jaśkiem w życie — brzmiała odpowiedź.

— Jakto, na śmierć? — wołam, bo znany mi brak wszelkich zdolności łowieckich mojego podleśniczego.

— O, leży — powiada — ogromny odyniec, podeszliśmy go na kilkanaście kroków w życie, i przyklęknąwszy na komendę wypaliliśmy obaj. Dzik się obalił, potem mu jeszcze Jasiek poprawił dwa razy, ale, że się deszcz puścił ogromny, musieliśmy uciekać. Jutro trzeba wziąść furę i paru chłopów, bo sztuka ogromna, to go byle kto na wóz nie włoży.

Nazajutrz fury nie brałem, ale pieszo pierwej poszedłem z leśnymi do żyta. Dzika nie było, deszcz spłukał wszelkie ślady, przeszukaliśmy z pogonką sąsiedni las, ale bez skutku, musiał pójść do Tarnawskiego lasu, gdzie zdechł, lub się wylizał. Mnie prócz wytłuczonego żyta nic nie zostało.

Podobne epizody przytrafiały się prawie codzień. Jeden leśny podszedł w pszenicy dzika na 10 kroków, ale że był w tem miejscu cień od lasu, nie mógł strzelić; drugiemu znów na bardzo bliską odległość kabzla spaliła.

Raz dodnia budzi mnie służący, że przyszedł Chruszczyk z wiadomością, iż widział dzika, żerującego w mojem

życie, które miano żąć tego dnia. Wstaję tedy, biorę Chruszczyka i podleśniczego, idziemy na miejsce, ale dzika niema; przypuszczaliśmy słusznie, że uszedł do kilkomorgowej remizy, w środku łanu żyta będącej. Czekamy chwilkę, tymczasem zeszli się leśni, żeńcy i fornalki, aby orać sąsiedni łan pod oziminę, kazałem więc kilkunastu chłopcom przegonić remizę, a ustawiwszy kilkudziesięciu żeńców na jednej flance, orzące fornalki na drugiej, stanąłem z strzelcami pod lasem, który o kilkadziesiąt kroków dotykał do żyta, będąc pewnym, że dzik gdzieindziej pójść nie może. Pogonka istotnie ruszyła srogiego odyńca, ten jednak wbrew moim przewidywaniom skręcił na lewo, gdzie żadnego lasu nie było, przeszedł tuż obok pługów, spłoszył parę koni, a strzelany bezskutecznie przez jakiegoś zabłąkanego tam strzelca, poszedł zdrowiuteńki w pole.

Przez cały tydzień, korzystając z pełni księżyca, zostawałem po wypłacie żeńców w polu i czekałem do 10. i 11. godziny na dziki wychodzące z lasu — przed wschodem słońca znów byłem już pod lasem, aby do wracających strzelać — niestety zawsze bez skutku; strzelał raz jeden, raz drugi leśny, ja nawet nic nie widziałem. Już mnie mój „pech“ zaczął niecierpliwić, ale, że śliczne były wieczory i ranki, a w domu gorąco nie do wytrzymania, wolałem siedzieć w polu, bo i tak w lecie bardzo mało snu zażywam.

Dnia 24 sierpnia poszedłem do kosarzy, którzy siekli jakąś spóźnioną, bo zamuloną łąkę. Był między nimi sławny niegdyś kłusownik, Kądziołka, dobry chłop zresztą i pracowity, a że karany kilkakrotnie, więc podobno dawne rzemiosło zarzucił. Powiada on do mnie:

— Żebym ja miał strzelbę, a choć na jedną noc poszedł, zabiłbym dzika pewnikiem.

— Dobrze — mówię — możesz pójść ze mną; obudź mnie o 2-giej, dam ci strzelbę, może z tobą będę miał lepsze szczęście.

O 10-tej położyłem się spać, będąc pewnym, że się mój towarzysz nie spóźni. Jakoż zaledwo zasnąłem, puka ktoś do okna. Wyglądam — mój Kądziołka zebrany nagli mnie do pospiechu:

— Proszę pana, księżyc zeszedł, szkoda czasu.

— Czyś ty oszalał człowieku — mówię — godzina 11., poco się będziemy włóczyć po polach. Czy ja wiem, gdzie dziki teraz żerują? Wynoś się, daj mi chociaż dwie godziny się przespać.

Poszedł jak zmyty, ja zaś położyłem się na nowo. Ale o spaniu mowy już być nie mogło, kanikuła straszliwa, przewracam się z boku na bok, nareszcie o północy wstaję, ubieram się i wychodzę.

Owiało mnie świeże górskie powietrze, w lepszem więc usposobieniu dążę na łąki leśne t. z. „Mleczki“, gdzie miałem zasiane na próbę 100 kilo owsa „Columbusa“, mającego podobno wielkie zalety, a do którego już się raz dziki dobierały.

Idę tedy wolno łąkami, bresze na mnie rogacz zawzięcie, ten ustał zaczyna drugi, już mnie to irytuje, bo nie mogę podsłuchać, czy gdzie dziki nie ciamkają, co przy zupełnej ciszy można usłyszeć na dość znaczną odległość. Siadam tedy na stołeczku myśląc: „Ciekawym, czy tobie pierwej sprzykrzy się wrzeszczyć, czy mnie siedzieć“. Jakoż po chwili pobiegł w las, ja zaś podsuwam się pod owies.

Księżyc był już mały, niebo jednak czyste, widzę tedy w owsie dwie plamy czarne — ba, te plamy się ruszają — słyszę też wyraźnie, jak smacznie zajadają mój kosztowny Columbus. Przyznam się, że wtedy nie zastanowiłem się nad stratą, jaką poniosę, oddany całkiem myśli, jakby dziki podejść. Położyłem się w trawie, czołgając się mozolnie na brzuchu. W jednej chwili byłem caluteńki zmoczony od rosy, nie zważając jednak na to, posuwam się naprzód, ale dziki czujne, co chwila podnoszą gwizdy do góry, wietrząc na wszystkie strony. Bardzo to był interesujący widok dla myśliwego, i mimo niewygodnej pozycyi, byłbym tak czekał z godzinę, gdyby nie obawa, że mnie wreszcie zwietrzą i dmuchną do lasu.

Podsunąłem się pod sam owies, dalej już iść nie można było, a chociaż w nocy, zwłaszcza w zbożu, trudno odległość oznaczyć, wiedziałem, że jeszcze bardzo daleko i o pewnym strzale mowy być nie może. W tem dziki ruszyły i zbliżyły się nieco do mnie. Widziałem, że trudno podejść je bliżej, lub czekać, aby same podeszły, wziąwszy więc Boga nu pomoc, a dzika na cel, palnąłem raz, a potem drugi do uciekających. Pędzę za niemi do lasu, lecz ogarnęły mnie egipskie ciemności, stanąłem tedy i słucham, stęka coś tuż koło mnie. Kiedy stęka, to pewnie leży, ale iść nie chciałem, żeby nie wleść na dzika, który mógł mnie ostatnim ruchem przetrącić. Poczekałem więc, aż się dzień zrobił i znalazłem się obok dużego pojedynka już martwego. O drugim słych zaginął i chociaż sam szukałem i szukać kazałem, przepadł, bo zresztą na zielonej stopie, jeżeli się na miejscu nie zabije, można zwierzynę uważać za przepadłą.

Ubity dzik był dla mnie zupełną satysfakcyą za psoty zrządzone. chłopi także ucichli, uważając się za pomszczonych, tymczasem skutek tych prześladowań dzików był bardzo nieznaczny, cóż bowiem znaczy zabicie jednego, gdy zostało jeszcze kilkanaście sztuk dzików, które jeść muszą, więc wypędzone z jednego zboża, idą w drugie.

Kwestya szkód, wyrządzonych przez zwierzynę leśną, poruszana kilkakrotnie w sejmie, w niektórych czasopismach, wreszcie u władz politycznych, nie rostrzygnięta dotąd, stała się dla niektórych panów, uważających się za powołanych do stawania w obronie ludu punktem oparcia do dalszego jątrzenia tegoż przeciw dworom. W wymienionym poprzednio pisemku „Związku chłopskim“ spotkałem się z artykułem, gdzie autor powołuje się na patenta cesarskie jeszcze z przeszłego stulecia, tłómaczy je całkiem opacznie — i radzi swym czytelnikom polować na dziki wszędzie i o każdej porze nie troszcząc się nawet o kartę na broń, a prócz tego wynagrodzenia za szkody każe dochodzić drogą prawną.

Władze polityczne na ciągłe skargi poszkodowanych zarządzają od czasu do czasu urzędowe obławy, które odbywają się zawsze bez żadnego rezultatu; obecnie nawet jeden z moich włościan otrzymał kartę na broń Czy to dziki bardzo nastraszy, skoro się dowiedzą, że Homie wolno ze strzelbą chodzić po polach — nie wiem, ale domyślam się, jak wyjdą na tem moje biedne sarny, któż bowiem upilnuje chłopa w nocy uprawnionego do noszenia broni?

Jeżeli już koniecznie zależy u nas na wytępieniu dzików do nogi, to nie potrzeba na to chłopa uzbrajać, lub zarządzać w porze letniej obław, na które żaden prawdziwy myśliwy się nie stawi, ale zająć się tą sprawą w zimie, porozumieć się z sąsiedniem starostwem Łańcuckiem, gdzie przeważnie są lasy obfitujące w czarną zwierzynę i zarządzić systematyczne tropienie i polowanie, a ręczę, że w przeciągu jednej zimy dzik zostanie wykreślony z fauny tutejszych okolic, czego jednak sobie bardzo nie życzy

Piotr Łastowiecki.

Hawłowice 4. września 1894.

(Próby broni — „*Zwei Vögel auf einen Schuss*)".

Jako sędzia dla grupy łowiectwa na wystawie krajowej byłem przy próbie broni. Strzelaliśmy z broni zrobionej przez firmy A. Dzikowski i Szadkowski i Kopczyński ze Lwowa.

Broń, wyrobiona w pracowni p. Alfreda Dzikowskiego, której kierownikiem jest p. Kaźmierz Tabaczkowski, okazała się tak co do formy wykonania, jak i co do strzałów znakomitą. Expresowe lufy przy dwóch trzylufkach na sto kroków trafiały na 8 strzałów 8 razy w czarne. Bardzo ładny jest dubeltowy expres i niezwykle zgrabny — udane są również 4 dubeltówki, które znakomicie strzelają; na 36 metrów dostawał zając 24 do 34 ziarnek śrutu Nr 4., jedna zaś dubeltówka z dwóch niewykończonych rzuciła z lewki 34 ziarnek Nr. 4 w zająca. Z taką strzelbą nie co dzień się spotkać można — warto, aby się dostała w dobre ręce, chociaż mierny strzelec będzie z niej chybiał. Śrut przebijał 100 arkuszy bibuły, a gdyśmy jeszcze dodali — sądzę, że 30, bo niebyły liczone — to śruty przebijały tych 130 arkuszy na wylot. Taka broń odpowiada wymogom myśliwego.

Broń pp. Szadkowskiego i Kopczyńskiego była mniej starannie obrobioną — sztućce nie tak starannie uregulowane — śrutem strzelała całkiem dobrze i ma tę ważną zaletę, że cena jest niewygórowana. Sądzę, że będziemy mogli u tych firm kupować potrzebną broń, nie uciekając się do obcych.

Dziś, polując z moim sąsiadem Eustachym Wolskim, z legawcem, miałem niezwykły wypadek — a patrzało na to trzech ludzi z odległości 50 kroków — pies staje, porywa się przepiórka, strzelam — przepiórka spada, a zająca, wywracającego koziołki i postrzelonego śmiertelnie, aportuje legawy. A więc *zwei Vögel auf einen Schuss*. Co za wypadek!

Kszyków i dubeltów tego roku mało — kuropatw jest dosyć, zresztą przepiórek, chruścieli nie wiele, ale więcej niż zeszłego roku. Zajęcy jest dosyć.

Teofil Żurowski.

Janczyn d. 27 sierpnia.

(Niezwykła natarczywość jastrzębia).

Polując dnia 24 sierpnia na polach, zaszedłem w kilka minut po zachodzie słońca na łąkę w zamiarze oczekiwania na ciąg kaczek. Wtem nadleciał jastrząb i z gwałtownością zaczął sztorcować na mego wyżła. Nie mając czasu zmienić patronów, strzeliłem dwa razy do niego cienkim śrutem. Jastrząb zwinął się i odleciał nieco, ale wrócił tak prędko, że miałem tylko tyle czasu, aby włożyć jeden patron do strzelby. Strzeliłem znowu, lecz jastrząb jeszcze gwałtowniej począł sztorcować. Strzeliłem więc po raz czwarty, ale i ten strzał nie był skuteczny, a jastrząb spokojnie dalej sztorcował. Dopiero po piątym strzale upadł nieżywy. Dziwiłoby mię, gdyby się jastrząb samych tylko strzałów nie był obawiał, cóż dopiero, gdy mogę zaręczyć, że z pierwszych czterech strzałów kilkanaście śrutów dostać musiał, gdyż nie przypuszczam, abym mógł cztery razy tak fatalnie chybić. Ciekawym przecie, czy jastrząb sztorcował z głodu, czy też bawiąc się, gdyż nie wpadło mi w pierwszej chwili na myśl sekcyonować go. Był to zwyczajny jastrząb gołębiarz *(Astur palumbarius)*.

Sander Alfred.

Kraków d. 19. sierpnia.

(Z polowania na kaczki).

W dniach 22. i 23. lipca t. r. odbyło się polowanie na dzikie kaczki w Zatorze, majętności Augusta hr. Potockiego. Pp. Potocki i hr. Ed. Starzeński, we dwie strzelby w dwóch dniach ubili około 300 kaczek, z których podjęto 216. Trudno doprawdy o lepsze i racyonalniejsze urządzenie myśliwskie jak Augusta hr. Potockiego, a uprzejma, znana i nieprześcigniona gościnność zacnego gospodarza dopełniła świetnego pod każdym względem polowania.

M. Brzostowski.

KRONIKA.

Wystawa nasza zaczyna odgrywać rolę w świecie myśliwskim. Liczne jej lampy elektryczne ściągają ku sobie ptactwo przelotne, które już rozpoczyna powoli swą jesienną wędrówkę. W nocy z 4. na 5. września znalazła służba wystawowa kilkanaście sztuk kszyków, dubeltów i przepiórek, które w locie uderzyły się o liczne druty lamp elektrycznych i telefonów i popadały na ziemię, albo nieżywe albo ogłuszone.

Ciekawa anomalia. Leśniczy B. Walowicz z Węgier podaje w *Mittheil. d. u. ö. Jagdschutzvereines* wielce ciekawą wiadomość o ubiciu szaraka, nie mającego wcale łyżek ani też jakichkolwiek rudymentów organu słuchowego. Widok zająca bez tej najchakterystyczniejszej jego ozdoby zrobił na nim takie wrażenie, iż zrazu nie chciał do niego strzelać, nie wiedząc co ma przed sobą.

Niedźwiedzie w Finlandyi. Donoszą z Finlandyi, że tam pojawiło się mnóstwo niedźwiedzi i tak ogromnych, że najstarsi ludzie podobnych nie widzieli. Zwierzęta te są nadzwyczaj zuchwałe; napadają na stada owiec i bydła i niekiedy ścigają je do samej wsi. W celu wytępienia tych drapieżników poformowano z wojsk fińskich oddziały ochotnicze, które wyruszyły na polowanie.

Jaskółkę z Azyi środkowej schwytano przed niewielu dniami w miejscowości Bukowar w Slawonii. Miała ona przymocowaną na szyi jedwabną wstążkę z napisem: „Semipalatińsk 14. kwietnia 1894". Dodano jej jeszcze drugą wstążkę z napisem: „Bukowar 24. sierpnia 1894" i puszczono na wolność.

W przeprawie z tygrysem zginął niedawno temu doświadczony łowiec angielski, Mr. Peach w Kamerunie. Rzecz się tak miała.

Mr. Peach był gościem rajaha Runbier-Sing'a. Polując dłuższy czas po dżunglach i lasach kameruńskich, był z rodzajami różnych polowań obeznany i doświadczony w podchodzeniu zwierza. Pewnego dnia, wziąwszy tylko jednego szikarego, wybrał się o 3-ej rano z obozu ku przesmykom górskim Beri-Beri, aby tam zapolować na jelenie. W pięć godzin później przybiegł do obozu sam szikari przerażony z wieścią, że pan jego został napadnięty przez tygrysa, i mocno poraniony kazał mu iść szukać pomocy w obozie. Rajah, który

w pobliżu obozowiska łowieniem ryb się zabawiał, kazał osiodłać swego ulubionego słonia myśliwskiego i udał się wraz z szikarim na ratunek Anglikowi. Gdy się zbliżali ku opisanej przez szikarego miejscowości, zauważył mahut na urwisku góry, popod którą przechodzili, połamane krzaki i skręcił w bok od góry. Niebawem rozległ się ryk i na urwisku ukazał się potężny tygrys, który, nie czekając ataku, rzucił się na słonia i wpił mu się zębami i pazurami w ciało. Rozpoczęła się straszna walka między słoniem i tygrysem, wśrod której rajah był w niebezpieczeństwie życia i musiał się wszelkiemi siłami trzymać howdy, żeby z niej nie być wyrzuconym. W pierwszej zaraz chwili strzelił wprawdzie rajah dwa razy do tygrysa, ale oba strzały były nieszkodliwe. W ciągu walki udało mu się wreszcie dać jeszcze jeden strzał kulą, która przeszyła tygrysa i zmusiła go do ucieczki. Słoń się uspokoił, a wtedy strzelił rajah jeszcze raz do uciekającego rabusia i położył go na miejscu.

Niedaleko placu walki znaleziono i ciało Anglika bez duszy, okropnie poszarpane. Sztuciec jego podwójny był wypalony. Mr. Peach ranił widocznie tygrysa pierwszym strzałem, drugim zaś chybił i tak się dostał pod jego pazury.

Tygrys był stary i rzadkiej wielkości, mierzył przeszło 10 stóp. Po obieleniu i wypatroszeniu znaleziono w nim trzy pełne kule, a prócz tego kilkanaście siekańców. Nie odstraszyło go to od widoku ludzi i nie odebrało chęci do walki. Pierwsza kula Anglika trafiła tygrysa w tylną łapę i nie zrobiła go wcale niezdolnym do napadu.

Kozioł ułaskawiony. Jeden z niemieckich leśniczych opowiada w *Weidmannsheil* następujące szczegóły o koźle ułaskawionym: „Pewnej nocy czerwcowej w r. 1892, właśnie gdym miał zamiar wsunąć się pod kołdrę, usłyszałem przez otwarte okno trwożliwy pisk sarniuczka. Nie namyślając się długo przywołałem mojego „Sylwana“ i tak jak byłem, w bieliźnie i w pantoflach, pobiegłem w kierunku, skąd mnie pisk trwogi dochodził. Był to lis, który się dobierał do kica. Sylwan pogonił zaraz za lisem, ponieważ zaś było tak ciemno, że oko wykól, musiałem czekać na powrót psa, aby mi pomógł w wyszukaniu lisiej ofiary. W istocie powrócił Sylwan niebawem i za jego tropem wsunąłem się na czworakach między krzaki, aby kica odszukać. Sięgając tu i owdzie omackiem, natrafiłem na cewkę i wnet schwyciwszy sarniuka przyniosłem go domu. Tu przy świetle okazało się dopiero, że jest cały farbą zbroczony i ma dość ciężkie rany na udzie, tylnej cewce i na grzbiecie. Obmyłem więc wodą rany koziołkowi, a zamknąwszy go na miękkiem posłaniu w stajni, poszedłem spać z błogiem uczuciem spełnionego dobrego uczynku. Nazajutrz dopiero zabrałem się do leczenia, wymyłem rany jeszcze raz wodą, pozaszywałem, i odtąd co rana przemywałem gojące się miejsca wodą karbolową. Już drugiego dnia lizał mi koziołek rękę z wdzięczności, a po kilku tygodniach brykał zupełnie wyleczony. Odtąd dozwoliłem mu wolno biegać po podwórzu i starałem się go do siebie przywiązać. To też już w jesieni, na wołanie „Hansl“, przybiegał do mnie i towarzyszył mi jak pies w wycieczkach po rewirze. Teraz przebywa zazwyczaj w lesie, nieopodal leśniczówki, i przychodzi kilka razy dziennie na podwórze i do stajni, szczególniej wtedy, gdy kurom pośład rzucają, pamiętając wybornie o godzinie, w której się to odbywa. Nieraz, kiedy niepodobna, ażeby mi mój „Hansl“ towarzyszył, muszę się przed nim ukradkiem wymykać, bo gdy mnie tylko zdaleka zobaczy, sadzi w susach ku mnie. Nawet za tropem mnie odszuka. Gdy przesiedzi z pół dnia, albo cały dzień w stajni, a potem go wypuszczę, to skacze z radości w około mnie jak pies, potem wybiega naprzód jakie sto kroków i znów powraca z wywalonym językiem. Z jamnikami mojemi żyje w dobrej przyjaźni i chętnie igra z małemi psinkami. Widziałem go już nawet w towarzystwie sarn, a zawsze potem wrócił do domu.

Ażeby nie stał się dzieciom i dorosłym szkodliwym, gdy mu parostki rosnąć zaczną, kazałem go w marcu wyczyścić. Przebył tę operacyę wcale dobrze. Parostki, które się wówczas na głowie „Hansla“ pokazały, dorosły w ciągu jednego miesiąca do wysokości 10 centymetrów, są zawsze w mchu, i stale się już tak utrzymują jako mylkusy. Jeśli jestem z „Hanslem“ w lesie, a odezwie się gdzie jaki szmer podejrzany, to pierzcha natychmiast jak zwierzyna dzika. Obcym ludziom, gdy jest w polu, nie da do siebie przystąpić. Sierć jego jest w wysokim stopniu elektryczna, więcej niż u kota. Gdym go raz niespodzianie pod włos zaczął głaskać, od grzbietu ku szyi, przeskakiwały bezustannie drobne iskierki.

Walczące gąsiory. Walka zwierząt i połączone z nią zapasy ludowe, przybierające nieraz cechę niezwykłej namiętności, należą do etnograficznej charakterystyki narodów. Hiszpania ma swoje byki Anglia koguty, Chiny świerszcze — zapasy wyścigowe koni stały się już sportem kosmopolitycznym — Albania zaś ma swoje gąsiory, które tam specyalnie do zapasów o zakład hodują, żywiąc je w tym celu rozmaitemi pobudzającemi środkami. Gdy Albańczyk ma gąsiora, o którym przypuszcza, że się dzielnie popisze, natenczas wysyła herolda, który chodzi po wsi i wzywa okrzykiem do walki innych posiadaczy gąsiorów. Gdy się trafi rywal, idą obaj na obraną arenę ze swemi gąsiorami, i rozpoczyna się walka gęsich zapaśników, której się cała wieś przypatruje.

Do jakiego stopnia dochodzi wówczas zaciekłość — już nie bojowników, z których się puch sypie — lecz ich właścicieli, jak dalece honor własny wiążą z bohaterstwem swych bojowników, świadczy wypadek, który się zdarzył przeszłego lata w Rogicy. Po dwugodzinnej walce, prowadzonej śród naprężonej ciekawości wszystkich widzów, począł jeden z gąsiorów ustępować. Właściciel jego pragnął mu przyjść z pomocą, lecz przeciwnik nie chciał tego dopuścić. Wówczas pierwszy z zapaśników, rozdrażniony oporem, zdjął jańczarkę z ramienia, zastrzelił na miejscu właściciela gąsiora zwycięskiego i uciekł w góry. Cała rodzina zabitego poszła wówczas w pogoń za mordercą i dwa miesiące szukała go w górach chcąc krew krwią pomścić. Lecz w końcu na prośbę całej wsi, wybaczył ojciec zabitego krwawy czyn mordercy, popełniony w porywczym zapale, i przyjął go za swego syna.

Wywóz raków. Podobnie jak Galicya, eksportuje na zachód znaczną ilość raków obfitująca w nie Kroacya. Wysyłają je tam w małych paczkach pocztowych po 40 sztuk do Wiednia, Lincu, Lublany, Zagrzebia, Budapesztu itd. Cena raka wynosi od 2 do 6 centów za sztukę. W ostatnich czasach wywieziono tak dużo tych skorupiaków, że władze zaczynają zwracać na to uwagę, ażeby nie nastąpiło zupełne ich wytępienie.

Nasz rak ruski (*Astacus ruthenicus*) o wąskich szczypcach, ceniony jest wyżej przez smakoszów, nadto jest on odporniejszy przeciw zarazom raczym. Oprócz Galicyi dostarczają tego raka w wielkich ilościach prowincye ruskie zakordonowe. W ostatnim roku przetransportowały koleje rosyjskie przez Podwołoczyska 18.324 pudów raków z przeznaczeniem do wiednia, Pragi, Wrocławia, Karlsbadu, Berlina, Lipska, Drezna i Paryża. W roku 1890 wynosił wywóz tego artykułu handlowego tylko 12.856 pudów. Sztukę raka ruskiego liczy się po 2 do 15 centów za sztukę, a trafiają się między niemi sztuki tak wielkie jak kraby. W Paryżu, gdzie raki ruskie uważane są za wytworny przysmak, szacują wartość wagonu (10.000 kg.) na 40.000 franków.

Ryby pod Warszawą. W Wiśle tuż pod Warszawą pojawiają się jesiotry, łososie, sumy, węgorze, miętusy, sandacze, szczupaki, leszcze, karpie płotki, jazgarze, kiełbie. Wprost ulicy Mostowej złowiono raz jesiotra, którego dwóch najsilniejszych ludzi na ramionach zaledwo poniosło. Wyciągają sumy po 100 funtów, karpie po 10 ważące. Z wiosny, prócz szczupaków, łowią się okonie, chociaż rzadko i liny, a po rozlewie rzeki trafiają się i karasie, nawet niekiedy pstrąg, którego nadwiślański rybak zowie wzdręgą. Są prócz tego ryby albo mało, albo pod odmiennemi nazwiskami w innych wodach Królestwa znane: Rapa (*Cyprinus aspius*), którą warszawscy rybacy *gospodynią wiślaną* nazywają, w innych rzekach zowie się boleniem. Jest smaczna rzadka cyrta (*Cyprinus vimba*), która się tylko pod jesień łowi, jest jaź (*Cyprinus jeses*), kleń (*Cyprinus leuciscus*). Rybacy, na oznaczenie różnych tego białorybu gatunków, mają właściwe nazwiska: krap, surowiatki, olszówki i t p. Jest śliza (do 2 funtów niekiedy ważąca ryba), a w jesieni przypływa koza (*Clupea alosa*), do śledzia podobna i także do dwóch funtów ważąca.

Wszędzie rowy zalewane naokoło miasta napełnione są koluszczką (*Gasterosteus aculeatus*), a na Saskiej kępie bywa czasem łowioną osobliwsza rybka, zwana w niektórych okolicach pałoszem, w innych głowaczem (*Cottus gobio*). W mętnych wodach, które się zatrzymują nad brzegiem Wisły, po opadnięciu jej wylewu, bywa mała robakowata rybka, ślepica (*Ammocoetes brianchialis*), zwana przez lud węgorzycą.

Węgorze w wodach słodkich Dotychczas było rozpowszechnionem mniemanie, że tylko samiczki węgorza wstępują z morza do rzek, tutaj wyrastają i następnie do morza wracają, że zaś samce trzymają się tylko ujścia rzek i w górę rzek nie idą. Nad tą sprawą p. Artur Federsen, konsulent rybacki rządu duńskiego, robił przez czas dłuższy studya i obserwacye w Danii i ogłosił niedawno ich wynik, dający się streścić w następujący sposób; Narybek wędrujący z morza w górę rzek składa się z samczyków i samiczek; samczyki wyrastają

nietylko na wybrzeżach i przy ujściu rzek, lecz także w średnim górnym biegu takowych; samiczki mogą już wracać do morza nawet przedtem, zanim utraciły żółtą barwę swej skóry; samczyki wracają wcześniej do morza niż samiczki. Spostrzeżenia te są bardzo wielkiej doniosłości nietylko dla samej nauki, lecz i dla gospodarstwa rybnego.

Rybołostwo uralskich kozaków. Rzeka Ural obfituje w ryby, szczególniej w olbrzymie jesiotry i wyzy, dające kawior i wędzoną wyzinę. Prawo połowu tych ryb służy osiedlonym nad brzegami Uralu kozakom, od miasta Uralska aż do ujścia Uralu do morza Kaspijskiego, tj. na przestrzeni około 200 kilometrów. Na całej tej długości rzeki jest żegluga statkami wzbroniona, ażeby nie przeszkadzać połowowi jesiotrów, które z morza aż po Uralsk podchodzą. Dalszemu posuwaniu się ryb pod wodę zapobiega krata żelazna, którą całe łożysko rzeki pod Uralskiem jest zamknięte. W miejscowościach, gdzie się jesiotry na zimowlę zbierają, nie wolno w ogóle ich płoszyć, czółnami przemykać, hałasować i ogni rozkładać. W lecie zaś wstrzymany jest wszelki połów, aby nie przeszkadzać rybom w składaniu ikry. Właściwy połów rozpoczyna się dopiero w jesieni, i to od morza, na dolnym biegu Uralu; górną część rzeki wyławiają w zimie. Jesienne łowy odbywają się z pomocą włoków i dają w przecięciu 54 do 72 milionów funtów ryby, a między tem około 200.000 funtów jesiotrów z których wydobywają przeszło 20.000 funtów kawioru. Wielce ciekawym jest połów ryb w porze zimowej. Osady kozackie udają się pod wodzą swego atamana na lód, pokrywający rzekę, wybijają w lodzie przeręble i łowią ryby gromadzące się ku przeręblom harpunami, utwierdzonemi na długich żerdziach. Połów jesiotrów w tej porze jest jeszcze obfitszy, wydaje on około miliona funtów ryby a 100.000 funtów kawioru, który w zimie bardziej jest cenionym i większy przynosi dochód. Liczba ludzi zajętych połowem dochodzi do 16.000, a rozumie się, iż cała procedura łowów łączy się z rozmaitem uroczystościami ludowemi.

Szanownych członków Towarzystwa łowieckiego, którzy za lata poprzednie i tych, którzy za rok bieżący zalegają z wkładkami, uprasza Zarząd Towarzystwa o jak najrychlejsze wyrównanie rachunku, gdyż bylibyśmy zmuszeni zaprzestać wysyłać im „Łowca“.

Sekretarz i Skarbnik gal Towarzystwa łowieckiego **Władysław Zontak** ulica Teatralna 18.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor **Juliusz Starkel** ulica Zyblikiewicza 5.

Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie.